Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z zatargów rodzinnych i z ekonomii łowieckiej.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

II.

Nowe zapatrywania na lasy pod wpływem świeżo wytworzonych stosunków cywilizacyjnych, wpadając częstokroć w ostateczności, mogły się stać dla nich samych groźnemi, tem bardziej, że duch czasu wyswobodził był lasy z pod opieki państwa, czyniąc z nich zupełnie wolną własność prywatną. Jednak w chwili zmienionych stosunków, gdy lasy prywatne tem większemu mogły ulegać zniszczeniu, odkrywał się coraz bardziej innego rodzaju klejnot, ukryty w lasach, a było niem zapoznane dotąd klimatyczne, hygieniczne i kulturne znaczenie tychże, znaczenie wielkiej wagi, które dało powód nowoczesnemu państwu do ustawowej ingerencyi w sprawy ochrony lasów i gospodarstwa leśnego. Wkroczenie rządów w sprawy lasów a zatem i w sprawy łowiectwa, i duchem liberalnym swych czasów natchnione dawniejsze ustawy łowieckie (n. p. austryacki patent z d. 13. IV. 1786), stanowiły znakomitą przeciwwagę łowiectwu, przekształcającemu się zbyt łatwo w rozbujałe amatorstwo, i stały się niemałą zaporą w tępieniu zwierza, do którego jednostronna kultura leśna doprowadzić mogła. Gdy zaś z biegiem lat konserwatywny system gospodarki leśnej ulegał zmianom, a w skutek tego i szkody przez zwierzynę wyrządzane nie były tak dotkliwemi, założone już były fundamenta do ery spokojnego pożycia wzajemnego obu gałęzi leśnej produkcyi.

Coraz to dalszy postęp wiedzy przyrodniczej i badawcze rozpoznawanie życia i zwyczajów zwierzyny obaliły niejeden przesąd, a jakkolwiek na całym świecie kwestya uszkodzeń kultury ziemiańskiej przez zwierzostany nie schodzi z porządku dziennego, to jednak bardzo już rzadko pojawiają się skrajne i wrogie zwierzynie zdania, i główną treścią są dyskusye nad użyciem najskuteczniejszej ochrony, jaką doświadczenie i nauka w ręce człowieka włożyła. Także i u nas, gdzie pominąwszy miejscowe różnice, analogicznie rozwój i postęp tych działów ekonomii krajowej się odbywa, nie dzieje się inaczej, a wśród zgromadzenia leśników, gdy drażliwa sprawa uszkodzeń lasu przez zwierzynę zaostrza dyskusyę, prezes, osiwiały doświadczeniem i nauką leśnik, prosi zgromadzonych o pardon dla zwierzyny a nie o przedwczesny wyrok. (*Sylwan* 1885 Luty. str. 87.)

Inne stosunki polityczno-ekonomiczne ziem naszych, a w szczególności nieszczęsne przejścia narodu w czasach, gdy w innych krajach na zachodzie odbywały się reformy kulturne, wstrzymały u nas krok postępu na polu ekonomicznem. Gdy hr. Ludwik Plater wydał swe dzieło: „Rzecz

o gospodarstwie leśnem“ w Wilnie r. 1807, nauka leśnictwa u naszych sąsiadów była już o tyle rozwiniętą, iż stać się musiała wzorem do naśladowania. Dzieło hr. Ludwika Platera łamie pierwsze lody, i wspólnie ze stanowiskiem wybitnem, jakie zajmował ten mąż w prowincyonalnej administracyi lasów, nadaje mu charakter Nestora polskiego leśnictwa.

Po utracie bytu politycznego, jedynym zakątkiem, w którym pielęgnować było można jako tako rozwój naukowy w języku ojczystym, było Księstwo Warszawskie a później Polska kongresowa. Z katedry leśnictwa, istniejącej przy uniwersytecie Aleksandrowskim, powstała w r. 1818, 26. marca pierwsza na ziemiach polskich szkoła leśnictwa pod nazwą: „Warszawskiej szczególnej szkoły leśnictwa“, do której przyłączono praktykę leśną w Lubochnie e później w Siekiernie przy leśnictwie Bodzentyn.

Mimo wpływu, jaki nauka leśnictwa niemieckiego na młody zakład naukowy wywierać musiała, zachował on przecież odrębną cechę, a ówcześni profesorowie, prawie sami Polacy, obeznani dobrze ze stosunkami krajowemi i potrzebami leśnictwa i łowiectwa polskiego, pod kierunkiem Ludwika Platera, nie mogli wstąpić na drogę niewłaściwą. Hr. Skarbek wykładał wówczas encyklopedyę prawa, Kitajewski nauki przyrodnicze, Skrodzki zoologię stosowaną do myśliwstwa, Matuszewski matematykę, od roku zaś 1820 wychodzący w Warszawie „Sylwan“ jako czasopismo nauk leśnych i myśliwych (podziśdzień wielka rzadkość biblioteczna), przyczynił się niemało do ogólnego postępu w zakresie nauk dotyczących, przez długi czas swego istnienia, przestał bowiem wychodzić dopiero w r. 1844.

W r. 1832 szkoła Warszawska zamkniętą została i nastąpił długi zastój w nauce, bo dopiero w r. 1840 rozszerzono i dopełniono naukę leśnictwa i łowiectwa przy nowo założonym Instytucie gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie. Wszechstronność wymagań w tym Instytucie, w którym wykładali Janczewski, Adamski, Pohlens, Hauke i wielu innych, była anachronizmem w chwili, gdy w innych krajach Europy podział wiedzy i pracy stawał się koniecznym. Instytut ten dostarczać miał agronomów i leśników w jednej osobie, a to nie odpowiadało wymogom czasu, nie mogli się więc wytworzyć „specyaliści“, za którymi gonił postęp kulturny, i częstokroć też sprowadzano tych specyalistów z dalekiej zagranicy, powierzano takim znakomitościom przeprowadzanie wielkich reform, a rzadko unikano w takich razach zawodów, wynikłych z błędów grubych, bo z błędów specyalistów, nie obeznanych ze stosunkami miejscowymi, których dokładne podchwycenie stanu teraźniejszości a niejako przeczucie przyszłości, jest kardynalnym warunkiem skutecznej reformy leśnictwa.

Komisya rządowa, widząc owe braki, urządziła Zakład praktycznego leśnictwa w Broku, który wobec zamierzonego rozszerzenia nauk w Instytucie rolniczo-leśnym w Nowej Aleksandryi, doniosłe mógł oddać usługi, wszystko jednak rozprószyły kolizye zdarzeń, o których tu rozpisywać się nie mogę.

Króciutka ta historya zakładów naukowych w połączeniu z datami statystyki krajowej tłumaczy poniekąd fakt, iż w części tej ziem naszych nie mogły wystąpić na jaw uszkodzenia kultury ziemiańskiej w ogóle w tym stopniu, jak to miało współcześnie miejsce na zachodzie. Lasów było jeszcze wiele, bo około $^1/_3$ powierzchni całego kraju pokrywały lasy, grupując się w ogromnych kompleksach w gub. Augustowskiej, Lubelskiej, Płockiej i Warszawskiej, stosunki agrarne i ekonomiczne w ogólności innego rodzaju, a zwierza, mogącego wyrządzać szkodę mało, bo wyniszczyły go i nieoględne łowy, i zbytnio rozmnożony zwierz drapieżny. Owoc zaś zakładów naukowych, t. j. reforma gospodarki leśnej, wobec której dopiero ujemna strona zwierzostanów na jaw występować zaczyna, już dla samego braku odpowiednich krajowych specyalistów nie mogła się uwydatnić.

Ekstenzywne stosunki gospodarcze w Galicyi, gdy kraj ten dostał się pod panowanie Austryi, w szczególności zaś stan gospodarki leśnej, jeżeli o takiej można tu mówić, nie poprawiły się wcale mimo patentu leśnego z r. 1784, który jak wiele innych dzieł ówczesnego władcy Austryi, należał do najczystszych zamiarów tego monarchy, niestety jednak zamiarów nieziszczonych. Korczunki, trzebieże lasów nieustawały; wśród lasów, jak istne wrzody tychże, rozsiadały się kolonie włościan dla pozyskania jak największej ilości rąk pańszczyźnianych, las jako taki dla braku środków komunikacyi nie przedstawiał prawie żadnej wartości, a plądrowniczo i sposobem dorywczym wyzyskiwane drzewostany zatracały się pod wpływem forsownego i nieoględnego pasania bydła w lasach przez t. z. poddanych, gdyż w interesie t. z. dziedziców leżało, aby ci jak najwięcej bydła roboczego posiadali. To też, gdy na zachodzie kwestya uszkodzeń kultur przez zwierzynę zapalała do ostrej polemiki, u nas kwestya ta była wprost bezprzedmiotową.

Ze zniesieniem pańszczyzny nastąpił gwałtowny przewrót w stosunkach ekonomicznych, na wielką skalę rozpoczęło się marnowanie za bezcen lasów, któremu i nowy patent z dnia 3. grudnia 1852 nie wielką położył tamę, zwłaszcza, gdy raptowne wygórowanie cen ziemiopłodów podczas wojny krymskiej dało już poniekąd usprawiedliwiony pochop do nowych korczunków. Z małemi wyjątkami nie istniał podówczas jakikolwiek system gospodarki w lasach, a większość lasów prywatnych znajdowała się pod kierunkiem t. z leśniczych, którzy nie powiem, aby nie chcieli, ale nie mogli niczego zdziałać dla przyszłości lasów.

Otwarcie dróg żelaznych podniosło odrazu ceny drzewa, a jak z jednej strony wielu pragnęło wyzyskać niebywałe dotąd konjunktury, sprzedając lasy i korczując beznadziejne zręby, tak znów coraz to widoczniejsze znikanie lasów obudziło czujność obywatelską ludzi zdrowo w przyszłość patrzących i popchnęło rząd do ściślejszego wykonywania oddawna już istniejących ustaw o ochronie lasów. Ściślejszy nadzór nad całością lasów, jakoteż w czyn wprowadzony ustawowy obowiązek utrzymywania ukwalifikowanych ludzi do kierownictwa gospodarką leśną, oraz do nadzoru i ochrony, były już nie małym czynnikiem postępu. Zwolna ustępowali t. z. leśniczowie, istny *lux a non lucendo*, albo gorzkim trudem zdobywać sobie musieli jaką taką kwalifikacyę pod grozą utraty chleba. Coraz to więcej inteligentnych młodzieńców poświęcało się zawodowi leśnemu, zastępy kandydatów do egzaminów państwowych z każdym rokiem się powiększały, a równocześnie powstała Szkoła leśna we Lwowie dawała gruntowne podstawy do przyszłego zawodu, Towarzystwo zaś leśników galicyjskich nastręczało sposobność do wyjaśniania wielu kwestyj, ważnych dla gospodarstwa leśnego.

Lecz wśród nawału kwestyj, jakie oko specyalistów odkryło, kwestya uszkodzeń lasu przez zwierzynę nie schodzi z porządku obrad, a pomimo, iż w ogólności zwierzostany w Galicyi nie należą do najświetniejszych, uszkodzenia te są tak dotkliwe, iż wywołują liczne skargi w relacyach członków Towarzystwa.

Kwestya ta, ważna tak dla łowiectwa jakoteż i leśnictwa krajowego, nie znalazła dotąd rozbioru z objektywnego punktu widzenia w organie łowieckiego towarzystwa galicyjskiego, czemu się nie dziwię, bo omawianie stron ujemnych nie należy do wielkich przyjemności.

Nie sądzę, ażebym i ja zdołał coś szczególnego wypowiedzieć w tej materyi, pomimo, iż długie już lata obracam się wzrokiem i myślą wśród leśnej naszej przyrody, a włos już zaczyna się srebrzyć wśród zmiennej kolei wrażeń, jakich w różnych okolicach leśnych naszej krainy doznawałem. Mniemam jednak, że owoc szczupłego doświadczenia własnego, wplątany w zasób wiedzy dotychczasowej, przyczynić się może do polepszenia stosunków choćby tylko wywołaniem wymiany zdań o tym przedmiocie w kołach łowieckich.

Leśnictwo obecne, uwolniwszy się raz na zawsze z więzów, w jakich go trzymały martwe szablony, postawiło sobie za zadanie osiągnięcie możliwie najwyższej renty z ziemi leśnej, za pomocą wyzyskania umiejętnego danych stosunków przyrodniczych. Jednym ze środków nowoczesnego leśnictwa jest staranie się o możliwie najobfitsze ulistnienie drzewostanów, a więc jak największy rozwój tych organów, które przy odtlenianiu kwasu węglowego atmosfery główny udział biorą, a przeto i na wytwór masy drzewnej wpływają, oraz jak największa insolacya stykających się koron, gdyż tylko pod wpływem promieni słonecznych, może wspomniany proces fizyologiczny dojść do najwyższego szczytu. Tam, gdzie całość promieni słonecznych, absorbują korony drzew, pod drzewami zostaje ziemia lasowa w wiecznym cieniu i ustaje na niej wszelka wegetacya, podczas gdy każdy promień słońca dostający się na ziemię lasową, i wywołujący tu jakąkolwiek wegetacyę, wycieńcza ziemię i uszczupla przyrost mas drzewnych. Wobec tych starań racyonalnej produkcyi drzewa, cóż tam w takim lesie dla zwierzyny pozostaje? Chyba tylko nędzne wyżywienie kosztem lasu. Jest to wynik zupełnie naturalny, a mimo to wprowadził wielu w najwyższe zdziwienie. Wszystkie te uszkodzenia należące w pewnym stopniu do właściwości zwierzyny, istniały niezawodnie i dawniej, lecz w dawniejszych czasach nie zwracano na to uwagi, tem bardziej, że lasy w stanie natury, szerokie pola i łąki, do których zwierzynie przystęp był wolny, dawały tyle różnorodnej żywności, iż szkody w lesie ograniczały się do minimalnych rozmiarów. Szkody owe wystąpić musiały dopiero wtenczas rażąco, gdy nowa idea wywołana postępem gospodarki leśnej skrzyżowała zwierzynie jej przyszłość w lesie, zagroziła jej warunkom bytowym.

Zasady, na których się opiera nowoczesne łowiectwo, każą pomocną dłoń podawać leśnictwu i wspólnie pracować nad wytworzeniem prawdziwego stanu kultury, ale oraz nad utrzymaniem zwierzostanów wobec zasad nowożytnego leśnictwa. Idzie tu więc o stworzenie takich warunków bytowych, pośród których szkodliwość zwierza do najmniejszych zeszłaby rozmiarów.

Krótkie i jasne to zdanie, a jednak praktyczne jego zastosowanie wymaga bardzo wiele doświadczenia i wiele wszechstronnej wiedzy.

Zwierzyna, wyrządzając szkody, utrwala się w tej niecnocie i staje się coraz to nieznośniejszą; szkodliwość jej nabiera cechy dziedziczności, i potęgując się w generacyach, doprowadza wreszcie do rozpaczy szalony gust zwierza, który jakby na złość, nawet wśród dostatku innej karmy szkodę wyrządza. Objaw ten z pewnością nie ja tylko zauważyłem, a dawno już temu lasomistrz Wolf doszedł do takiej ostateczności, iż doradzał w takich stosunkach sprowadzać zwierzynę z innych okolic w miejsce tubylczej, z którą już rady dać sobie nie było można. Szkoda, że rozpaczliwy ten pomysł, o ile w teoryi bardzo jest słusznym, w praktyce okazuje się nie tak łatwym do przeprowadzenia. Nawet, gdyby wspomniany pomysł mógł być zrealizowanym, to wobec nieodpowiednich nadal warunków bytowych, na nic by się to nie przydało, i konieczność wytworzyła by znów szkodliwe nałogi i dotkliwe uszkodzenia lasów. Jakieś więc niewielkie ofiary muszą nawzajem ponosić owe dwie nierozłączne siostry, a my spoglądając w przyszłość liczmy na zimno, czego się spodziewać możemy i nie dajmy się straszyć fantastycznym marom.

Niezliczone mógłbym dać przykłady zmiennych gustów zwierzyny; przesunęły się one przed memi własnemi oczyma, lub są wynikiem doświadczenia innych wiarygodnych leśników i myśliwych.

Opierając się na nich sądzę, że tylko rozpoznanie dokładne właściwości miejscowych podać może broń skuteczną przeciw złemu, a o ile trudniejszem to zadanie, o tyle milszem stać się może opanowanie stosunków, tem większą okaże się wartość miejscowego doświadczenia, wskazującego nowe drogi do dopięcia celu, tam, gdzie użycie utartych szablonów do zupełnego zwątpienia doprowadziło.

W niektórych okolicach prowincyi Pruskiej, nieznane było ogryzanie kultur szpilkowców przez daniele, jelenie lub sarny, a w niektórych rewirach marchii Brendenburskiej nie znano zupełnie strasznego gdzieindziej korowania drzewek, podczas gdy w tych miejscach objawiał się szczególny gust do zjadania jagód i w ogóle całej rośliny t. z. chróściny jagodnej *(Arbutus uva ursi)*. Zawsze zielona ta roślina pokrywa nieraz całe powierzchnie swym świecącym liściem w piaszczystych lasach sosnowych, lub wspólnie z wrzosami stanowi jedyną pokrywę ziemi. Roślina ta, jak wiele innych po naszych lasach (n. p. Kamionka *Vaccinium vitis idea*), zawiera oprócz kwasów owocowych, znaczne ilości kwasu garbnikowego i galasowego w liściu i łodygach, i prawdopodobnie zwierz, zaspakajając potrzebę organiczną kwasów rośliną wzmiankowaną, pozostawiał w spokoju drzewa kulturowane.

Jakkolwiek zwierzyna, a osobliwie sarny, mało który gatunek drzewa oszczędzają, to młodociane zapusty i kultury zwykłych naszych drzew leśnych przedstawiają całą skalę stopni niebezpieczeństwa. Jedne z nich mimo kilkurazowych uszkodzeń wywalczają sobie wreszcie swobodę i wymykają się ku górze z pod działania szkodliwych pysków, inne znów nieznoszą i jednorazowego uszkodzenia, a subtelny ich organizm cierpi i drzewko karłowacieje pod wpływem bądź ogryzania, bądź skaleczenia ważnych organów przy oczyszczaniu ze scypułu wieńców i parości. Ślady jednak uszkodzeń drzew pierwszej kategoryi, długie jeszcze lata wpadają w oko i częstokroć w rębnych drzewostanach spotkać można pnie nienormalnej budowy, której powód ściśle badania odkryły w dawnych uszkodzeniach przez zwierzynę, gdy drzewa były jeszcze wątłemi młodocianemi roślinami.

Ogryzanie szpilkowców trwa w zimie a przybiera pod wiosnę największe rozmiary aż do wypustu pędów majowych, poczem ustaje, prawdopodobnie w skutek zbytecznego przesycenia się pędów sokiem żywicznym i ukazania się innej żywności, a natomiast zaczynają znów cierpieć więcej drzewa liściaste.

Jeżeli sarna ma do wyboru między sosną a świerkiem, to z pewnością uszkodzi pierwszą, a świerk zostanie nietknięty. Wkradłszy się do szkółki drzewnej, mogą sarny

zniszczyć zupełnie młodziutką sosninę, nie zaczepiwszy świerka. Widziałem wielkie parcele sosnowych kultur ogryzione w ten sposób, jakby w nich gospodarował ryjkowiec (*Curculio pini*), a obok tego nietknięte stały zagajenia świerkowe. Takie *qui pro quo* może tem łatwiej przy pobieżnem traktowaniu nastąpić, o ile wobec widocznych szkód przez ryjkowca zrządzonych, nie dadzą się odkryć zawsze jakiekolwiek dowody jego pobytu.

Starsze sosenki 10—15-letnie są znów przedmiotem pastwienia się najrozmaitszej zwierzyny, a często spotykamy w przekrojach starych drzew ogromne zalania, gdzie wśród chorobliwej hyperprodukcyi drewna, znajdują się w środku całe warstwy kory i jamy, wypełnione zgrudkowaciałą żywicą. Są to pamiątki, bądź grymaśnego gustu, bądź gwałtownych wybuchów złości, czy wreszcie objawy rozpasanej swawoli zwierzyny. Na młodej sośninie (na korze) ociera kozioł parostki, to znów rani korę, bijąc z niecierpliwości parostkami, gdy w nich świerzbienie odczuwa. To samo na większą skalę, odpowiednią ich sile, wykonują jelenie, a łanie odzierają korę czy z przyzwyczajenia, czy też z łakomstwa? A raz w jednem miejscu rozpoczęte takie uszkodzenia powiększają się coraz dalej, podczas gdy w innych miejscach lasu dojrzeć ich trudno. Muszą tu zatem mieć miejsce jakieś odrębne wpływy, które na korę i jej miąższość specyalnie działają i zwierza w te miejsca ściągają.

Jeszcze smaczniejszym kąskiem od sosny i świerka, są dla sarn pędy jedliny młodej, jednak i tu szkodliwość sarn zależy od tego, czy jodełki wyrosły w cieniu, czy też zostały przesadzone jako trzyletnie sadzonki ze szkółek w miejsca odsłonięte. Widocznie musi tu zachodzić wielka różnica w smaku, bo według dokonanych doświadczeń w cieniu wyrosłe jodełki nie były ogryzane, podczas gdy przesadzane ze szkółek na odsłoniu, ogromnemu ulegały uszkodzeniu, tak, iż kultury takie musiano ogradzać przed sarnami i zającami. Szkodliwość sarn w kulturach jodłowych była znaną już w początkach stulecia naszego, a Pfeil utrzymywał w skutek tego, iż w kulturach jodłowych zwierzostan cierpianym być nie może. (*Über Erziehung der Weisstanne. Kritisch. Blätter XVIII. 1. 160*).

Podobnie jak sosna, cierpi także szlachetny modrzew, jednak jest on o tyle więcej odpornym, o ile u drzewa tego nowotworzenie pączków jest łatwiejsze, i że gatunek ten skłonny jest do wypuszczania t. z. pędów świętojańskich. Oryginalnie i charakterystycznie wyglądają, częstem ogryzaniem uszkodzone modrzewie, bocznemi gałęziami kładą się niemal na ziemi, podczas gdy pęd główny zaumiera, tak, że cała roślina wygląda, jakby jaki do ziemi tulący się egzemplarz szpilkowca północy lub górskiej turni.

Na miękkiej korze starszych już modrzewi uwidoczniają się, podobnie jak u sosny, tylko jeszcze w większysh rozmiarach, wszelkie ślady obrażeń, a żadne drzewo pod wpływem uszkodzeń nie wytwarza takiej obfitości zgrubień, gul, zamarłych i karłowatych pędów itp. objawów zewnętrznych, które w późnym już wieku uwidoczniają to, co na razie nie zwracało na się uwagi.

Jeżeli wobec rozmaitych szyszkowców rozmaicie się zachowuje zwierzyna, to ma to jeszcze bardziej miejsce wobec drzew liściowych. Niektóre z nich, j. n. p. brzoza, olcha, lipa albo wcale nie, lub tylko wyjątkowo ulegają uszkodzeniu. Wszystkie gatunki drzew liściowych są poniekąd asekurowane od szkód, jeżeli w lesie młoda znachodzi się dębina. Szkoda tylko, że w tym razie asekuracya droższą jest od przedmiotu asekurowanego. Wpływ ogryzania w kulturach dębowych jest tak dotkliwy, że do rozpaczy doprowadzić może.

Wprawdzie jak wszędzie, tak i tu, rozmaite są i być muszą zapatrywania na rzecz, a nawet twierdzą niektórzy, iż dąb znosi wiele przez ogryzanie i potem rozwija się w piękne drzewo (Nadleśniczy Wermburg w Steigerforst), lecz jest to poprostu czcza pociecha dla serca leśnika-myśliwego. To, co osobiście w tym kierunku sprawdziłem, nie uprawnia bynajmniej do podzielania tej ponętnej opinii; co gorsza, powiedzieć mogę, iż raz rozpoczęte dzieło zniszczenia, postępuje tu w sposób zastraszający, i o tyle raźniej, o ile w skutek ogryzienia tworzą się coraz to nowe młodziutkie pędy u drzewa, obdarzonego silną, lecz niedługo trwającą odpornością, pędy smaczne i ogryzane przez zwierzynę z coraz to większem łakomstwem. Sądzę, że lepiej nie ukrywać złego, bo ono na długi czas ukryć się nie da, a *clara pacta* jak wszędzie, tak i tutaj, najprędzej do usunięcia złego doprowadzą. Po kilka razy ogryziony dąbczak nie rozwinie się w „piękne drzewo", a w szczególnych wypadkach będzie to rozwój bardzo kosztowny, bo okupiony kilkoma latami straty. Niebezpieczeństwo dla lasów dębowych skutkiem ogryzania może by nie było tak wielkie, gdyby na pędy ogryzaniem wywołane, nie wywierały zgubnego wpływu działania nieco odmiennego naszego podniebia. Gdy jednak, osobliwie we wschodnich częściach kraju, spotykamy się i z tym wrogiem zapustów dębowych, działającym jeszcze łatwiej na chorobliwe pędy, to ogryzanie, samo już przez się niebezpieczne, tem zgubniej musi wpływać u nas na rozrost dębów, i jest może jednym z powodów, dla których wspaniałe nasze niegdyś dąbrowy przemieniły się bądź w nieużytki, bądź w liche zapusty drzew małej wartości. A trzeba przytem zauważyć, że mniejsza o to, czy ogryzania dokonała zwierzyna, czy też bydło domowe, skutki bowiem są te same.

Właściwość naszego klimatu uzasadnia zupełnie inny sposób zapatrywania w tym kierunku, i zdania leśników na zachodzie Europy o znaczeniu szkód ogryzaniem w dębinach wywołanych, nie mają dla nas wielkiej wartości.

Napiętnowałem tu może zbyt ostro winy powabnych i główny zwierzostan naszych kniei stanowiących sarn, lecz nie przesadziłem w barwach. Mogą to poświadczyć znawcy naszych stosunków leśno-łowieckich, z którymi nieraz miałem sposobność oglądać spustoszenia tego rodzaju zagajników dębowych, w rozmaitych stronach kraju.

Bardzo łakomo ogryza zwierzyna pędy wszystkich gatunków brzostów, wiązów i jaworów, jeżeli drzewa te nie są jedynie przymieszką dębiny, gdyż w takim razie tylko dębina cierpi, jak to zauważyć można w lasach tego rodzaju w Złoczowskiem, w Zakomarzu, w Podlesiu, Rozważu i innych. Wprawdzie stan sarn w lasach tych nie był zbyt świetnym za mojej pamięci, jednak i w obec tego lichego zwierzostanu okazywały się znaczne uszkodzenia dębiny, podczas gdy inne wzmiankowane gatunki drzew były nietknięte. Ani brzost i wiąz, ani klon, jawor lub jasion nie stanowią u nas dominujących drzewostanów, a tylko sporadycznie lub jako przymieszka wśród innych drzew występują, uszkodzenie zatem tych gatunków nie może zasługiwać na wielką wagę, zwłaszcza, iż po największej części asekuruje je od szkód dębina. Liście młodych jasionów ogryzają chętnie sarny, a wyjątkowo tylko uszkodzają pączki, które prawdopodobnie są dla nich za grube i za twarde.

Buk i grab ulegają również ogryzaniu. Oba te rodzaje drzew ratują cokolwiek ich przyrodzone własności, więc choć szkoda jest szkodą, bo conajmniej walka odporna odbywa się

kosztem przyrostu i czasu, przecież roślinki uszkodzone wydobywają się wnet z niebezpieczeństwa, i rzadkie są wypadki zupełnego skarłowacenia lub zamarcia pod wpływem ogryzania przez sarny i zające. Silny organizm graba, jego wytrwałość w znoszeniu i gojeniu ran ogryzaniem zadanych są przyczyną, iż szkody, jakie nieraz wyrządzają zające wśród zapustów grabowych w nawalnych zimach, gdy młodniki literalnie ściętymi zostają, wkrótce zaciera czas, i drzewka wywalczają sobie swobodny byt, wymykając się ku górze po nad niebezpieczny poziom. Tu i ówdzie w zapustach takich spotkać się dające skarłowaciałe monstra, o niezliczonych kupkowatych pędach, a kurczowo pokręconych gałązkach, opóźnione w pogoni za światłem i słońcem, a przecież wegetujące jeszcze długi czas, są dowodem zarazem i wielkiej odporności graba i gustów zwierzyny.

Buk, pomimo że rozpostarł swe siedliska wysoko w krainę gór, i znosi tam ostry klimat, nie sięga na północnym wschodzie swemi siedliskami tak daleko jak grab, i cierpi w młodości pod wpływem raptownych skoków w temperaturze, jakiemi się wschodnio-europejski klimat odznacza. To też i skutki ogryzania buczyny w klimacie naszym o tyle mogą być donioślejsze, o ile klimat częstokroć do powiększenia zrządzonej już szkody się przyczynia, nie mówiąc już o tak zwykłych w buczynie szkodach mysich (*Mus arvalis i sylvaticus*) które, się do szkód innych przyłączają. Przyrodzona własność buka, iż wyrasta najlepiej pod ochroną cienistą drzew stojących, czy to buków czy innego gatunku, stanowi niemałą asekuracyę młodników bukowych.

Szkody, przez ogryzanie wyrządzone, są tak charakterystyczne dla każdego gatunku zwierza, iż bardzo łatwo z wszelką pewnością odróżnić się dają. Fałszywe zatem i bolesne posądzenie niewinnego jest tu niepodobne. Jelenie, daniele i sarny pozostawiają chropowatą powierzchnię płaszczyzn ogryzionych, jedynie zając i królik czterma swemi ząbkami szczypiącemi temperują gładko powierzchnię ścięcia, a gładka ta powierzchnia przedstawia się niemal zawsze ukośnie. Krom tego prawdziwe te gryzonie uszkadzają oprócz kory i warstw kambialnych również i starsze słoje, pozostawiając tam ślady, które tylko śladami zębów od podobnych uszkodzeń drzewa przez myszy odróżnić się dają.

Jestto wielkie szczęście dla zająca, iż w krajach, gdzie zaprowadzono zwierzostany królików, szkody przez te dwa pokrewne gatunki zwierząt wyrządzone, dały się stanowczo odróżnić. Zając, korując drzewka, pozostawia tu i ówdzie ślady podłużnych zdarć kory, czego królik nigdy nie czyni, korując zawsze w kierunku poziomym a raczej poprzecznym. Jak w ogólności trudno określić dokładnie gustu gryzoniów, nastręczającego zawsze tyle niespodziewanych objawów, tak też i nie łatwem jest zdefiniowanie zakresu szkód, jakie zając w lasach wyrządza. Miejscowe warunki odgrywają tu tak wielką rolę, iż gdy w jednej okolicy gust tych zwierząt zwraca się więcej w kierunku nieszkodliwym dla lasu i pomimo silnego zwierzostanu, szkody nie są rażące, w innych znów okolicach nieliczny stosunkowo zwierzostan znaczy w sposób bardzo dotkliwy dla lasu swoją obecność, a w szczególności cierpią tam partye lasu przybrzeżne od pól i łąk, w których najchętniej zwierzęta te przebywają, chociaż zdawaćby się mogło, iż tak być nie powinno w obec żywności, jaką zając wśród przylegających pól znachodzi. Inaczej rzecz się ma wśród głębokich lasów, gdzie pewna tylko niewielka ilość zajęcy stale przebywa. Szkody zrządzane przez te zwierzęta, nie mogą tam być bardzo znaczne, w każdym jednak razie zasługują na to, aby tu o nich wspomnieć, zwłaszcza, iż przy ciągłem postępie łowiectwa u nas, i zwiększaniu się tego nader ważnego zwierzostanu, zaczyna i jego ujemna dla lasów strona coraz bardziej występować.

W zapustach bukowych, dębowych, a nawet kulturach szpilkowych, oprócz zwykłych ogryzień kory i pączków, staje się zając nieraz oryginalnym szkodnikiem, bo szkodnikiem jakby się zdawało z psoty. Nie są to już ogryzienia dla spożycia pewnej części rośliny, ale ścięcia widocznie bez naruszania istoty zdziałane, ścięte bowiem pędy znaleść można w całości na ziemi, a płaszczyzny, na których ścięcie miało miejsce, przystają jak najdokładniej do siebie. Pod samem mieszkaniem mojem, miałem sposobność obserwować psoty tego rodzaju w cztero-letniej kulturze świerka. Nie mogąc w żaden sposób uwierzyć, aby na tak wielką skalę wykonywana praktyka, (uszkodzenie bowiem obejmowało około 5 morgów), było li tylko zabawką zwierzęcia wśród obudzonej parkotni — zastrzeliłem jednego zająca *in flagranti* i przekonałem się, wbrew pozornemu doświadczeniu — gdyż jak to wspomniałem, ubytku materyalnego w pędach ściętych dostrzedz nie mogłem — iż nie jest to bynajmniej zabawką, ale w dziwny sposób przeprowadzone zaprowiantowanie organizmu w środki żywiczne i gorzkie, cały bowiem przewód pokarmowy przesycony był charakterystyczną wonią żywicznych soków świerczyny. To zatem nie zabawka, to nie konieczne tylko zajęcie szczęk gryzonia, lecz zdobywanie czy to dyetetycznych czy podniecających środków w sposób szkodliwy.

Wszystkie gatunki drzew leśnych ulegają więcej uszkodzeniom przez zwierzynę w ogóle, jeżeli znajdują się pod działaniem pełnem światła słonecznego. Insolacya odgrywa tu tak ważną rolę, iż pewne gatunki drzew i krzewów, będące na odsłoniu przysmakiem zwierzyny, pomijane bywają w cieniu lasu.

Oprócz wpływów, jakie wywiera światło na organizm roślinny, wytwarzając delikatniejszą tkaninę a przeto i dla zwierza powabniejszy kąsek, przyczynia się także sama kultura do powiększenia prawdopodobieństwa szkód. Podobnie jak starania koło drzew owocowych wytwarzają tkaninę delikatniejszą i ponętniejszą dla zwierza, tak samo i kultury drzew leśnych, powstałe z roślin wychowanych na grzędzie szkółki, większemu stosunkowo ulegać będą uszkodzeniu niż te same gatunki, wzrosłe w stanie natury. Jest to objaw, dostrzegany u wszystkich gatunków drzew, objaw, na który zgodził się zjazd leśników w Kołomyi w r. 1888, poddawszy kwestyę tę poprzednio szerokiej i fachowej dyskusyi. I tu leży źródło najrozmaitszych zdań o zakresie i znaczeniu szkód leśnych, dokonanych przez zwierzynę, powstaje cała matnia zagadek wytwarzających się skutkiem przemian organizmu roślinnego pod wpływem kultury. Im więcej starań w gospodarce leśnej, im silniejszy wpływ kulturny tem i groźniejsze niebezpieczeństwo szkód przy braku środków ochronnych. To samo mówi także prastara kultura rolna, gdzie wiekowy wpływ cywilizacyi naznaczył się olbrzymio w fizyologicznym ustroju roślin, wytwarzając z nikłych i niepozornych gatunków odmiany okazałe, w których tylko z trudnością rozpoznać można potomstwo plebejuszowskich antenatów.

(C. d. n.)

ZNALAZŁ SWÓJ SWEGO.

(Dokończenie.)

Z zamiłowaniem i po myśliwsku uprawialiśmy z ks. Kanonikiem polowania na dropie w jesieni, w zimie zaś na wilki, które się u nas w znacznej ilości pojawiły. Nie pożądane to przybysze; straszne spustoszenia zrządzały w lasach, redukując osobliwie ród sarni. To też wypowiedzieliśmy wojnę tym rozbójnikom, wojnę zaciętą, z rusznicą, strychniną, baranem, świnią, byle tylko, jeśli nie wymordować, to co najmniej rozpędzić tę hordę. I faktycznie udało nam się ją rozpędzić, gdyż ubitych siedm sztuk mogło tylko nieznaczną lukę w tych bandach rozbójniczych spowodować.

Przyczyną tak małej zdobyczy w stosunku do ilości wilków, jaka podówczas nawiedziła nasze lasy, da się tem usprawiedliwić, że polowaliśmy po większej części w trójkę, a czasami na czwartego przyłączał się do nas ś. p. greckokatol. proboszcz M...ski, człek bardzo poczciwy, zamiłowany myśliwy, sążnistej i niezwykle silnej budowy. Na chęciach mu nigdy nie zbywało, ale na czasie z powodu rozległej parafii bardzo często. Wprawdzie ten i ów nieboszczyk nieraz i trzy godziny dłużej poleżał, bo ks. M. mawiał: „zmarły nie wstanie a wilki uciekną“ — stawiał się jednak na punkt zborny, gdy go tylko zawiadomiono, że wilki otropione. Lecz niestety, mimo szczerych chęci nie wiele nam pomógł, i oby go św. Hubert, uwzględniając szczere chęci i pasyę myśliwską, nie pociągał do surowej odpowiedzialności za to, że strzelał arcyźle. Wiedział sam o tem i do stanowiska pewniejszego nie miał wcale pretensyi; owszem, wypraszał się nawet i zajmował zwykle stanowisko mniej pewne Zdarzało się jednak, że do strzału przychodził, a w takim razie nie schodząc ze stanowisk, wiedzieliśmy jaki stał się mankament, bo zirytowany wołał do nas: „Zgórowałem“, albo „Zdołowałem!“ Strzelec był zły, ale jako myśliwego, rady jego zawsze były bardzo dobre.

Wiadomo, że wilki rzadko zalegają w kniejach, w których istne szerzą zniszczenia. Otóż i nasze wilki obrały sobie widocznie okoliczne knieje za stały teatr swych rozbojów, gdyż zalegały w nich rzadko kiedy. Uciekaliśmy się więc do odpowiednich fortelów, aby je przynęcać. Znanym sposobem przyrządzaliśmy barana ze strychniną, jednak bezskutecznie. Raz tylko, jakby drwiąc sobie z nas, zabrały barana, unosząc go z miejsca o kilkadziesiąt kroków, i tam nietkniętego pozostawiły. Nabrałem stąd przekonania, że wilki tylko w braku żywego łupu, i bardzo zgłodniałe biorą się do zatrutego barana albo raczej padliny. W lasach obfitujących w sarny, stanowiące główny przysmak i łatwą zdobycz wilków, baran albo inna padlina może długo leżeć, a wilki jej nie ruszą. W pierwszych dniach, jeżeli padlina na dobrym trakcie tym rabusiom jest podrzucona, zbliżą się do niej, zdrapią śnieg i ziemię w około, ale nic ruszą, następnych zaś dni najobojętniej przechodzą koło niej.

Po nieudałych próbach z strychniną, nastały piękne noce księżycowe. Około godziny 12 w nocy wsiedliśmy tedy do sani z sporym prosiakiem, i wiązkę grochowianej słomy uwiązawszy do sani na długim dość sznurze, jedziemy do lasu. Dojechawszy do miejsca, gdzie wilków spodziewać się można było, zaczynamy ruszać prosiaka, wreszcie targać go to za uszy to za ogon -— stawiamy go w różnych pozycyach, i ani daj Boże dobyć z niego głosu. Świnia, czy przestraszona, czy niema, ani kwiknie. By nie doznać zawodu, robimy następnego dnia próby ze świnkami i znaleźliśmy wreszcie wieprzaka, istnego wirtuoza, który za każdem podsadzeniem mu kułaka pod ziobra wywodził, aż uszy bolały. Z tym tedy tenorem robiliśmy kilkurazową wycieczkę po lesie w nocy, jednak bezskutecznie. Czy wilków nie doszedł kwik świni, czy ich nie animował -- trudno wiedzieć. Wilki w lesie były, stwierdzały to tropy, ale spotkać się z niemi ani rusz. Nie pozostało więc nic innego, jak zadawalniać się każdorazowem zalegnięciem i otropieniem wilków, choć rzadko się to zdarzało, bo zalegały tylko te wilki, które z dalekich stron nad ranem do lasów naszych przyszły.

Tropiąc wilki, zwłaszcza mioty w których zalegnięcia ich spodziewać się można, czynność tę jak najdalej i z wszelką ostrożnością przedsiębrać należy. Najmniejszy podejrzany szelest, śnieg skrzypiący pod nogami tropiącego, niech tylko zaległe w miocie wilki zasłyszą, a z pewnością wyruszą z miotu, raz zaś wyruszone, idą całemi milami i nie zalegają tego dnia więcej. Ani odwagi ani przezorności wilkowi przypisać nie mogę; owszem, posiada on niezmierną miarę bojaźliwości, i nią się tylko powoduje. Nawet strzałem niespłoszony, gdy się zlęknie, umyka co tchu. Wiele faktów, stwierdzających bojaźliwość wilka, mógłbym przytoczyć, lecz ograniczę się tu na podaniu jednego tylko.

Było to z początku zimy. Śnieg od kilku dni leżał, ale bardzo mały, zaledwie przykrył liść opadły z drzewa, jednak ciężarem swym nie przygniatał go do ziemi, tak, że biegnącego zająca nawet z daleka słyszeć można było. Lekko leżący liść rozsuwał się pod skokami szaraka, sprawiając szelest jakby w jesieni, gdy jeszcze śniegu niema.

Korzystając z ponowy, poszedłem rano do lasu tropić wilki, podzieliwszy tę czynność częściowo między gajowych i siebie. Idąc drożynką, usłyszałem nagle szelest uciekającego zwierza; spojrzałem i widzę dwa wilki wprost na mnie goniące. Przystanąłem obok drzewa. Tuż przy mnie na drodze znajdowała się kałabania na 12 kroków długa, napełniona zebraną wodą jesienną, bo mrozów jeszcze nie było i śnieg upadły na wodę stopniał. W około wszędzie biało, tylko kałabania się czerniła. Wilki gonią wprost na kałabanię, a o kilkanaście kroków od niej dzielą się: jeden mija kałabanię w prawo, drugi w lewo, i ten wpada na mnie nie dalej jak na ośm kroków. Zoczywszy mnie, osadził nagle w miejscu, wytrzeszczył ślipie, ściągnął raz wargami, pokazując zęby, i w tej pozycyi, mierząc mnie, pozostał w miejscu kilka sekund. Wreszcie i ja ocknąłem się i podniosłem laskę ku niemu. Wilk rzuca się w bok, z gwałtownością i przerażeniem wielkiem uderza sobą o graba tak silnie, że się aż bliżej ku mnie zatoczył, harknął z bolu i strachu, zerwał się i zmykł odemnie, biorąc kilka metrów przestrzeni jednym skokiem. Jak się później przekonałem, wilki te były zaległy i pomimo, że gajowy w przyzwoitej odległości otrapiał, szelest liści pod nogami gajowego wyruszył je z miejsca.

Mając wilki otropione, nie należy z polowaniem na nie długo zwlekać, bo raz na kilka razy się trafi, że wilki około południa nie zmienią legowiska, przenosząc się co najmniej z miotu w miot, a najczęściej bardzo daleko.

Do pogonki na otropione wilki nie potrzeba dużo ludzi, a jeżeli ma się do dyspozycyi tyle ludzi, że linię obstawi

się na 50 kroków chłopiec od chłopca, to aż nadto dostateczne. Ważną jest rzeczą, ażeby zapobiedz uderzeniu wilków na flankę, a ku temu używam zawsze dwóch gajowych ze strzelbami, ustawiając ich na jednej i drugiej flance. W kilka sekund po ogłoszeniu się nagonki, strzela jeden i drugi gajowy na flankach w powietrze. Polując w ten sposób, nigdy mi się nie zdarzyło, ażeby wilki uderzyły na flanki, wychodziły zawsze na linię obsadzoną myśliwymi.

Od starych myśliwych słyszałem, że wilk postrzelony stroni od zdrowych, a to dlatego, że wilki, czując na postrzelonym farbę, rzucają się na niego, zagryzają i zjadają. Ma to twierdzenie swoją racyę, ku czemu przytoczę fakt następujący.

Razu jednego brzask światła rannego zastał mnie jeszcze w łóżku. Nie spałem już wprawdzie, ale myślałem: jeszcze za ciemno, gajowi stropią wszędzie, a ja tymczasem poleżę sobie trochę. Wtem otwierają się drzwi i wchodzi ks. Kanonik, a zanim zdołał drzwi za sobą zamknąć, mówi:

— To pan jeszcze spisz, a tu taka śliczna ponowa!

— Nie spię księże Kanoniku, tak tylko leżę.

— A to tem gorzej, nie do darowania! Lenistwo to pierwszy stopień do piekła, a sforami temu, kto zaspi taką ponowę.

Ksiądz Kanonik mówił, a ja tymczasem już byłem na nogach tłumacząc się, że gajowi każden dział otropią, że jeszcze za ciemno nawet. W kilka minut byłem zebrany i po śniadaniu. Wyruszyliśmy do lasu, udając się w kierunku gdzie najmniej wilków spodziewać się można było, gdyż inne części lasu otrapiali gajowi z osobna.

Oznaczając punkt zejścia w prawo i lewo, rozeszliśmy się z księdzem Kanonikiem. Idąc natrafiłem na całkiem świeży trop wilka, który prowadził z pola i podążał w przeciwnym kierunku, niż ja iść miałem. Z kierunku tropu byłem pewny, że wilk wyszedł jak przyszedł na pole i podążył światami w obce knieje, że zaś trop był bardzo świeży, dla wszelkiej pewności postanowiłem wyprowadzić trop aż na kraj lasu. Uszedłszy kilkaset kroków, przekonuję się, że wilk idąc, natrafił na siedzącego w kopnie zająca, wyruszył go, pogonił za nim ze 30 kroków i złapał. Farba na śniegu zdradzała, że wilk, jeżeli nie całego, to kawałek zająca poniosł. Uszedłszy tak spory kawał, dochodzę już do kraju lasu, — wtem o jakie 100 kroków widzę wilka leżącego. Zboczyłem nieznacznie z tropu, zsunąłem strzelbę z ramienia, odciągnąłem kurki, idę i zbliżam się do wilka na daleki niepewny strzał. Wtem wilk faktycznie nie stanął lecz odbił się jak piłka od ziemi, i w kierunku prostym odemnie w ogromnych susach się odsadza. Nie spiesząc się, gdyż było to na grubym dość rzadkim lesie, o przeszło 100 kroków posłałem za uciekającym kulę. Po strzale wilk poszedł, nie zmieniając kierunku i nie znacząc zupełnie strzału. Gdym jednak doszedł do miejsca strzału, zobaczyłem zdaleka farbę obfitą na śniegu. Uradowałem się bardzo, ale w tej chwili przyszło mi na myśl, że wilk miał zająca i zuchwalec nie porzucił resztek mimo strzału, poniósł z sobą i stąd farba. Zdegustowany wracam na miejsce, skąd wilk pomknął, i rzeczywiście przekonuję się, że dojadał tam zająca, jednak z miejsca nie farbował, dopiero po strzale. Im dalej szedłem, tem pewniejszy byłem strzału, strzału przypadkowego, albo prawdziwie mistrzowskiego przynajmniej tą razą.

Farba coraz dalej obfitsza, ale wilka niema, wreszcie wilk zmienił kierunek i dotarł do gęstwiny, gdzie już przestałem iść za tropem i postanowiłem go obciąć. W maleńkim kawałku, zaledwie kilkumorgowym, obciąłem w istocie wilka — nie wyszedł. To dobrze — pomyślałem — albo już nie żyje, albo dochodzi, bez ks. Kanonika wszakże nie godzi mi się przekonywać dalej. Zostawiłem tedy wilka w miocie i podążyłem na spotkanie mego towarzysza. Hukam — niema. Tymczasem ks. Kanonik, zebrawszy już raport od wszystkich gajowych, że wilki były i rozdarły dwie sarny, ale wyszły z lasu i niema ich u nas, nie mogąc mnię ani odszukać ani też doczekać się, odjechał do domu.

Nie miło mi było, gdym się o tem dowiedział, bo nie było z kim podzielić uciechy ani też przed kim się wyspowiadać.

Biorę podleśniczego, który (Boże odpuść!) równał się w strzelaniu ks. M...skiemu, biorę także dwóch gajowych, i jednego z nich posyłam w trop, dając polecenie, aby zatrąbił raz krótko, przyszedłszy do miejsca i przekonawszy się, że wilk ruszył, dłużej zaś, gdyby znalazł wilka nieżywego. Sam z podleśniczym zajmuję stanowiska. Nie czekaliśmy długo. Gajowy daje znać trąbką, że wilk ruszył z miejsca, a w kilka sekund widzę, że mój sąsiad nastawił rurę. „Żeby choć co z tego było!“ — pomyślałem. Wtem padł strzał, wilk przesadził drożynę i poszedł w następny miot. Na liczonych 12 kroków idącego po mału wilka chybił, swoim zwyczajem „zdołował“.

Ruszam za wilkiem, tropię miot jeden, drugi i czwarty, w następnym nareszcie ostanawiam wilka, który zaległ. Lecz co tu robić? Miot duży, niema komu zastąpić, a do tego zmrok zapada. Ja zmęczony i głodny, gdybym wiedział, że na mnie wyjdzie, odzyskałbym siły i głodubym nie czuł. Namyśliwszy się, postanowiłem zostawić wilka w miocie, i mówię sobie: „Do rana zginie, albo zapolujemy jutro“.

Dobry mrok już zapadł, gdym wrócił do domu. Posiliwszy się, nie szczędząc ks. Kanonika, pojechałem do niego i opowiedziałem moje przygody, które jak ponowa poprzedniej nocy zabrały sen kochanemu sąsiadowi.

Późno w noc powróciłem do domu i znużony padłem na łóżko. Ale trudna rada! Zamiast snu, wilk snuje mi się po głowie, przewracam się na wszystkie strony, zaglądam w okno, ciemno i ciemno, kogut zapiał na dzieńdobry, lecz choć ciemno, wstałem.

Nadjechał i ks. Kanonik, a pierwsze słowa jego były:

— Wie pan, ten wilk całą noc nie dał mi spać!

— Nie wilk księże kanoniku, tylko ja, bo niepotrzebnie z tą wiadomością podążyłem wczora mając wszelką pewność, że ks. kanonik dziś przyjedzie. Odpukotowałem to jednak, bo i ja nie spałem całą noc.

Wyruszyliśmy do lasu zobaczyć, co się z wilkiem stało. Niestety, znowu niema pewności. W nocy weszło i wyszło po kilka razy kilka wilków do tego miotu. Po obliczeniu tropów byliśmy pewni, że w miocie nie zostały, ale czy postrzelony zabrał się z niemi lub został, nie można było wiedzieć. Wprawdzie na tropach farby nigdzie nie można było dopatrzeć, ale też wilk postrzelony nieznacznie już tylko farbował dnia wczorajszego, wchodząc w ten miot. Zapadła uchwała, że jeśli wilk nie wyszedł, to już nie żyje. Ruszyłem więc za tropem, a ks. Kanonik, ks. M...ski, po którego raniutko posłaliśmy i podleśniczy zajęli stanowiska. Niestety! wilka nie było w miocie; leżał w kilku miejscach, wreszcie przestał farbować całkiem i czy wyszedł po tropach innych wilków, lub po tropie jego wyszły inne — dość, że wilk przepadł.

Znać nie wydzwonił jeszcze św. Hubert jego godziny, to też i kula nieszkodliwa...

Lecz cóż się dzieje? Wilk ten, unikając widocznie towarzystwa innych wilków, opuszcza las i idzie w pole; tam natrafia na sterty ze zbożem i obok nich budę, w której

przed śniegami, dozorując stert, polowy wysypiał się na wszystkie cztery boki, asekurowany od deszczu i wiatrów. Budę tę obrał wilk dla siebie na lazaret. Miejsce to było bardzo dla niego wskazane, bo nie było sarn, któreby podniecały apetyt wilka. To też bez ulegania pokusie, na ściślej dyecie przeleżał w budzie dni kilka, nie wydalając się z niej. Dyeta posłużyła, nastąpiło polepszenie zacnego zdrowieczka, a z niem wrócił i apetyt, że zaś do pogoni za sarną lub zającem nie czuł w sobie sił dostatecznych obmyślił łatwiejszy posiłek, podążył po świnkę lub owcę wprost do dworu.

Tok od pola był zaopatrzony wysokim płotem. Śniegu było dużo, a po długotrwałych mrozach sypki jak piasek pokrywał otwarte pola; wiatry unosiły go i posuwały na swych skrzydłach, aż wreszcie zarównały niem wszystkie rowy i debry. Płot od gumna stanowił zaporę hulaszczym wiatrom, to też usuwając takową zniwelowały go do poziomu usypanym śniegiem, tak, że od strony pola zupełnie go widać nie było. Wilk z wielką łatwością wszedł aż na płot, a że stamtąd nie bardzo wysoko mu się wydało, skoczył na tok. Zawiódł się jednak nieborak, bo splądrowawszy tok, nie znalał się czem pożywić, gdyż ekonoma tłuste świnki w przylegającym do toku dobrze zawarowanym karmniku utrzymywał. Świnki te, kwicząc od czasu do czasu, dodawały apetytu wilkowi, lecz dobrać się do nich nie mógł. Z brzaskiem dnia chciał wrócić, ale zawiódł się w swej sztuce gimnastycznej; płotu przesadzić nie mógł i musiał pozostać na toku jak w klatce.

Błysnęło słońce, śląc pomrokę na ślepie biednego wilka i począł się ruch świata przed chwilą śpiącego. Do drzwi toku zbliżył się gumienny, stuknął nogą o bramę, strząsając z niej śnieg, otworzył kłódkę, a skrzyp ciężkich wrzeciądzów bramy wtórował ostatniemu „Amen", którem zakończył gumienny swe pacierze.

Zbliżył się do stodoły, powtórzył i tu stuknięcie o bramę, a wtem wilk, korzystając z chwili, gdy gumienny był zajęty kłódką i kluczami, szust mu pod nogi i przez otwartą bramę pogonił z toku w pole. Oczywista gumienny goni do ekonoma i opowiada, co zaszło na toku. Pan ekonom sprawdziwszy tropy, uspokoił żonę co do zdrowia i nienadwerężonej liczby świneczek i goni do ks. Kanonika opowiedzieć o napadzie „całego stada wilków". Pani ekonomowa, ze swej strony nie tracąc czasu, zawiadomiła o wszystkiem kowala i ogrodnika, między którymi kryła się rusznica znana z tego, iż zginął od niej niejeden śmiały zając, który przez umyślnie w płocie porobione dziury na pozostawioną kapustę i jarmuż do ogrodu zachodził, a stamtąd wprost na stół pani ekonomowej się dostawał.

Ks. Kanonik, nie leniwy, idzie do dworu, sprawdził po tropie bytność nie stada wilków ale zawsze jednego, wysłuchał opowiadania gumiennego, sprawdził którędy wilk się dostał i zaczął układać plany. Ale cóż! pani ekonomowa wyprzedziła go, wysyłając kowala i ogrodnika w pogoń za wilkiem, obiecując za skórę gęsiorek płynu gorzelnianego, byle ją mieć przed łóżkiem. Kowal i ogrodnik, zakropiwszy sporym zadatkiem robaka, nabrali kurażu, zapewniając panią ekonomowę, że choćby do nocy nie wrócą bez wilka, i dalej we dwóch z jedną rusznicą....

Wilk podążył wprost do swego zacisza, gdzie dni kilka odbywał kuracyę w największym spokoju, to też za tropem ruszył kowal z ogrodnikiem. Ogrodnik z rusznicą zanurzył oczy w trop, ani mu przez myśl spotkać wilka koło sterty. Był pewnym, że basior podążył do lasu, a choć tam nie bardzo bezpiecznie, bo co krok to kije rosną, zmyślonem pożarciem dwóch świń obiecuje sobie okupić bezpieczeństwo i wyjść bez szwanku.

Zbliżyli się tak na kilka kroków do budy, aż tu kowal, zoczywszy wilka w budzie, zauważył, że ogrodnik, aczkolwiek z rusznicą, nie zwraca uwagi na wilka. Świadom regulaminu myśliwskiego, który na polowaniu rozmawiać nie pozwala — szturk kułakiem po biodrach ogrodnika. Ten wypatrzył się na kowala, i już chciał mu się odwzajemnić kolbą, gdy wtem zoryentował się i widzi nadstawioną rękę kowala w kierunku wilka. Wilk nie rusza z budy, znać przyszedł czas i wybiła jego godznia. Kowal z ogrodnikiem o parę kroków zastąpili wyjście z budy — więc z rezygnacyą czeka końca.

Ogrodnik chwycił za rusznicę, zmierzył, przycisnął, ogień raz i drugi błysnął, ale tylko z kominków. Sięga do kamizelki za kabzlami świeżemi, lecz na to wilk zdecydował się nie czekać, wyruszył z budy, rozpuścił nogi i ucieka co się zowie. Kowal z ogrodnikiem lecą za wilkiem, a upaliwszy sporo drogi, walą sobą w debrę zasypaną śniegiem, i w otchłani znikają z horyzontu. Z ciężką biedą wygramolili się na świat boży, ale wilka ani widać. Skonfundowani oglądają rusznicę, by ją przyprowadzić do porządku i podążyć za wilkiem. Ale to rzecz niełatwa! Rusznica zabita śniegiem, mokra, przy ladsztoku brak „grajcarka", nie można wykręcić nabojów, kilka kabzli zużyli, nie wypala — nie ma co robić — wracają do domu. Idąc po nad tok ujrzeli ks. Kanonika i ekonoma, dopędzają tedy, by im opowiedzieć całe zdarzenie, a kończą tem, że całemu niepowodzeniu winna pani ekonomowa, bo nie powinna była skóry na wilku kupować wedle przysłowia: „kiedy skóry na baranie, to nie targuj człeku za nie!"

Dowiedziawszy się od nich, że wilk poszedł do lasu, wraca ks. Kanonik do domu, rusznicę z kołka na sanie i wio! za wilkiem do lasu. Zaraz w pierwszym miocie otropił wilka — nie wyszedł. Zdąża do mnie, nie zastaje w domu, odszukał mnie w lesie.

— A co — rzecze do mnie — są wilki.

— Były, ale nie ma — odpowiedziałem.

— Et, pan nic nie wiesz — rzecze ks. Kanonik — chodź pan prędko, ja już otropiłem w doskonałym miocie, we dwójkę zabijemy niechybnie!

— Gdzie? — pytam zdziwiony.

— Tam, w tym miocie! — odrzekł ks. Kanonik.

— To być nie może! Ja sam dziś miot ten tropić jeździłem.

Wsiadam jednak na nalegania ks. Kanonika do sani, zabieramy kilku ludzi na nagonkę i ruszamy. Po drodze opowiedział mi ks. Kanonik całe zajście.

Przyjechawszy na miejsce, sprawdziliśmy, że wilk był ciągle w miocie.

Zastępując stanowiska z ks. Kanonikiem, mówię:

— No, już stąd nie ma się on którędy wymknąć.

— Aha — mruknął ks. Kanonik — nie mów pan hoc, dopóki nie przeskoczysz!

Pierwszego postawiłem znanego z kunsztu podleśniczego, ks. Kanonik zajął stanowisko środkowe, ja zaś stanąłem na drugim kraju miotu.

Zaledwie pogonka ruszyła, patrzę, sadzi wilczysko na strzał odemnie, ale podąża ku flance. Miot dzieliła drożyna. Właśnie w miejscu, gdzie wilk zdążał przesadzić drożynę, był zakręt i za nim z powodu gąszczy niemożliwy strzał do wilka. Nie dopuszczam więc wilka do drożyny, wybieram małą lukę w gąszczy i szlę kulę do „truchtem" idącego

wilka. Wilk ruluje na miejscu i z głębokiego dołka widzę tylko kitę, jak nią odkazuje skórę, ale nie pani ekonomowej. Zwracam się do ks. Kanonika i mówię:

— Ho! ho! leży!

Wtem widzę, że wilk w głębokim śniegu jakoś niewyraźnie się rzuca, idę w miot, wilk zaczyna uciekać, strzelam z drugiej lufy i pudłuję co się zowie.

Wilk przypadł na drożynę, jakoś dziwnie skacze, ale ucieka co się zowie. Wypadłem i ja na drożynę, gonię za wilkiem dobywając ładunku, wtem wilk zrównał się z linią, którą zdążał ks. Kanonik, a ten zoczywszy rabusia pali do niego, wilk przewraca się na miejscu, ale już nie wstaje.

— Brawo! księże Kanoniku! — wołam — tak strzelają nasi.

— Ale nie do takich wilków — odpowiada ks. Kanonik.

— Brawo!! — powtarzam — ślicznie go ksiądz Kanonik strzelił.

— Nie brawo, nie brawo! Takiego wilka nie biorę na siebie. On by był daleko nie poszedł, to tylko łaskawy strzał za wszystkie sarny, które pomordował i za figle, jakie dziś płatał — odpowiada ks. Kanonik.

Przystąpiliśmy do wilka, a oglądnąwszy go, poznajemy, że to ten sam, któregom przed kilku dniami na obchodnem strzelał. Kula uderzyła go z tyłu w udo, wpadła do jamy brzusznej, nie uszkadzając jelit, i wypadła o kilka cali niżej mostka piersiowego, robiąc szeroki otwór, którym sporo jelit na zewnątrz się wydobyło. Rana tak w udzie jako też w podbrzuszu poczęła się zabliźniać, a w miarę gojenia się rany jelita, prawdopodobnie dzięki dyecie, napowrót do środka się wsuwały. Po dłuższem badaniu nabraliśmy wszelkiej pewności, że wilk z tej rany z czasem byłby się zupełnie wygoił. Druga kula moja zgruchotała mu wysoko tuż pod łopatką przednią nogę, przebiła nisko mostek piersiowy, nie naruszając wewnątrz naczyń, któreby śmierć musiały sprowadzić. Ostatnia kula, posłana przez ks. Kanonika, przeszyła mu środek komory, rwąc z dymem nić życia wyuzdanego rozbójnika.

Tak po zbadaniu strzałów, zaczęliśmy roztrząsać, któremu z nas wilk ów przysługuje, lecz trudna ta kwestya do dziśdnia rozstrzygniętą nie została. Jeden z nas niechce a drugi nie może dźwigać na sumieniu rabusia wielkich rozmiarów, starego ze zużytemi zębami wilka suchotnika, który tak sprytnie wywinął się z rąk kowala, ogrodnika i z sypialni pani ekonomowej. — Proszę Cię Szanowny Panie redaktorze, wydaj sąd w tej sprawie i przyjm wyrazy, jakie sprawiedliwemu rozjemcy się należą. *Ago.*

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

Przez czarny ląd.

II.

Podajemy dalsze ustępy z podróżnej relacyi Höhnela z wyprawy hr. Samuela Telekiego w latach 1887, 1888 w głąb Afryki*).

Nosorożec, bawół i słoń, oto kolosy świata zwierzęcego, z któremi przywódcy wyprawy często się spotykali. Jedno takie spotkanie trafiło się w ciągu marszu przez kraj Masajów do Kikuju wzdłuż wschodniego stoku gór Kilimandżaro.

Osiedlone tam pokolenie Wadżaga uprawia banany, dwa gatunki bobu, eleuzynę, bataty i tytoń. Kukurudza i trzcina cukrowa nie są uprawiane. Pasza na połoninach górskich nie starczy do utrzymania bydła Wadżagów, muszą więc uciekać się do zbiórki trawy w sąsiednich dolinach. Można ich widzieć codziennie, jak schodzą długim szeregiem gęsiego w doły, a później z ciężkiemi balami trawy na głowie wracają do swych osad.

Zatrzymaliśmy się tu przez dwa dni — opowiada Höhnel — więc mieliśmy czas zapolować. Robiliśmy dalsze wycieczki wraz z hr. Teleki, próbując szczęścia myśliwskiego, lecz nadaremnie. Teren nie dawał nigdzie osłony myśliwemu, więc do płochej zwierzyny, takiej jak np. zebry, trudno było przyjść do strzału. Zebry są płoche, lecz także niezmiernie ciekawe i dlatego nawet w otwartem polu dają się czasem na 300 i 200 kroków podejść. Otóż i mnie udało się w końcu zebrę samicę ubić; przypłaciła ona życiem swą ciekawość. Właśnie zabieraliśmy się do obielenia i rozćwiertowania ubitego zwierzęcia, gdy wtem pokazały się niedaleko dwa nosorożce. Strzał przerwał im widocznie drzemkę wśród traw; rozsrożone poczęły kłusować dużym łukiem po stepie. Choć byliśmy o jakie 400 kroków oddaleni, poczuły nas i z szybkością galopującego konia zwróciły się ku nam.

Atak taki był jeszcze podówczas sygnałem ucieczki dla naszych czarnych towarzyszy; to też i teraz rzucili się w dzikim popłochu ku pojedynczemu drzewku, które widniało na horyzoncie. Przyznam się, że i mnie brała chęć zmykania, gdym zauważył, że atak istotnie na nas wymierzony. Rozważywszy atoli, że ucieczka aż do widniejącego w dali drzewa jest niepodobieństwem, porzuciłem ten zamiar. Zresztą nie było w około nawet żadnego burzanu, któryby choć za moralną ochronę mógł być poczytany. A leżąca na ziemi zebra była już wyzyskaną, bo aż trzech negrów leżało za nią na brzuchu, śledząc trwożliwym wzrokiem, co to będzie. Cóż robić? Trzeba było napad oko w oko wytrzymać. Przyklękam — przykładam do oka sztuciec, jakiśmy mieli na słonie — i zdecydowany wytrzymywać jak najdłużej, szukam miejsca, gdzie strzał mógłby być śmiertelny.

Lecz zwierz biegnie na sztych, olbrzymi łeb chwieje się bezustannie wśród ociężałego galopu i zakrywa łopatkę, jedyne miejsce, gdzie można strzelić. Rozjuszona para zbliża się coraz bardziej, niebezpieczeństwo wzrasta z każdą cząstką sekundy, a ja widzę ciągle tylko olbrzymi łeb przed muszką. To też pociągnąłem za cyngiel dopiero wtedy, gdy pierwszy nosorożec zaledwo na 8 do 10 kroków odemnie był odda-

*) Pierwsze ustępy z tego dzieła p. t. *Rudolph-See und Stephanie-See* podaliśmy w Nr. 8 „Łowca“ z r. 1892. (Przyp. Red.)

lony. Lecz i z tej odległości siła potężnego, dziesięciu drachmanami (przeszło 43 gramów) prochu wyrzuconego pocisku, nie powstrzymała zupełnie ataku. Zrazu padł wprawdzie pierwszy nosorożec, lecz natychmiast zerwał się na nogi. Strzał mój nie położył go trupem, lecz przecież ochłodził jego wściekłość, gdyż wraz z swym towarzyszem rzucił się w bok. Jeszcze dwa razy zatoczył się, jakgdyby padając, tak, iż myślałem, że nie trzeba drugiego strzału, lecz znowu pomykał z równą szybkością, aż w końcu oba zniknęły nam z oczu.

Na drugi dzień nie mieliśmy również wielkiego szczęścia. Całą zdobyczą była mała gazela, bez rogów, maści izabelowatej. Nie mogliśmy jej naukowo oznaczyć, to tylko wiem, że mieliśmy z niej wyborną pieczeń. Gazel tego gatunku nie spotkaliśmy już nigdzie.

Okolice jeziora Ndżiri są ostoją bawołów. Świeży trop tych zwierząt napotyka się co chwila. Hr. Teleki odkrył też wkrótce starego, wielkiego byka, który się pasł w odległości 50 do 60 kroków. Takie samotniki są zwykle bardzo złe i niebezpieczne, a nawet nieranione rzucają się na człowieka.

Wyśledziwszy bawołu — opowiada hr. Teleki — oglądnąłem się za moimi ludźmi i sztućcami, lecz oprócz jednego (imieniem Charszo) nie było już innych -- pouciekali. Charszo natomiast był cały w płomieniach, nadzwyczaj zapalony do myśliwstwa. Z ócz sypały mu się iskry i żadnym rysem oblicza nie zdradzał obawy. Z takim towarzyszem, który umie z wszelką przezornością i zimną krwią nowy sztuciec myśliwemu podać, można się puścić na niejedną awanturę.

Bawoł zwietrzył już niebezpieczeństwo, lecz mnie nie dojrzał jeszcze. Czekałem też chwilkę, ażeby się lepiej obrócił, a potem strzeliłem w komorę z ekspresu 577. Gdy się dym przeciągnął, nie było już byka, lecz jasnozielone krzaki wskazywały obfitą farbę płucową, za którą mogliśmy łatwo pójść za ranionem zwierzęciem. Zawiodła nas ona do całej, kilkaset sztuk liczącej trzody bawołów, które bardzo blisko od nas w gęstwinie się pasły, a obecnie, przerażone strzałem, w różne strony się rozpierzchały. Jednemu bawołowi, który biegł na połeć, wpakowałem kulę między żebra, innemu roztrzaskałem zadnią nogę, a jedną z krów trafiłem w krzyże, skutkiem czego poczęła ryczeć i przysiadła, lecz wkrótce się zerwała i pomknęła. Wreszcie całe stado przebiegało koło mnie w tak strasznie bliskiem oddaleniu, iż cud, że nie zostałem roztratowany. Amunicya moja wyczerpała się tymczasem i nie miałem już czem strzelać.

A gdzież był Charszo?

Gorący ten chłopak puścił się sam na polowanie zamiast mi posługiwać i siedział gdzieś w zaroślach, zapewne w stokroć gorszem położeniu niż ja.

Lecz niebezpieczeństwo minęło wkrótce, znaleźli się wszyscy ludzie, a Charszo między nimi, i mogliśmy puścić się za postrzałkami. Pierwszym był byk, obficie broczący, który stanął na 100 kroków przed nami. Cztery razy jeszcze strzeliłem do niego, i dopiero po czwartej kuli, która go w grzbiet raniła, usiadł. Zwierz żył jeszcze, lecz ruszyć się już nie mógł. Strzeliłem tedy do niego na parę kroków, umyślnie próbując strzału, z ekspresa kal. 500 w czoło między rogi — i bez skutku. Nie więcej zdziałała kula, wystrzelona z sztućca kal. 8, również w czoło; byk spuścił na razie głowę, lecz znowu ją podniósł. Dopiero strzał w komorę położył koniec temu twardemu życiu.

Na odgłos tak wielu strzałów zbliżyli się ku nam wojownicy pokolenia Masai. Obiecałem im skóry z dalszych bawołów, które jeszcze wyszukamy, i zjednałem sobie tem zapalonych towarzyszy, którzy mi pomogli w tropieniu postrzałków. Wkrótce doszliśmy do postrzelonej krowy, która się w gęstwinie ukryła. Wyskoczyła stamtąd, gdyśmy się zbliżyli, lecz dwoma strzałami udaremniłem jej ucieczkę; to przysiadała, to znów się podnosiła i wlokła naprzód. Moi czarni wojownicy, spostrzegłszy to, pospieszyli za nią, aby ją dzirytami dobić, ale krowa, zaledwo zdolna ruszyć się z miejsca, broniła się napastnikom z straszną zaciekłością. Dziryty wojowników odskakiwały bezwładne od twardej, zbitej skóry, jeden się złamał, jeden zgiął, żaden jednak w ciele krowy nie utkwił — a gdym widział, że cała ta czarna armia z postrzeloną krową rady sobie dać nie może, dobiłem ją strzałem w szyję. (D. c. n.)

KORESPONDENCYE.

Szepetówka w lutym 1893.

(Niezwykły gość).

Pozwalam sobie przesłać opis następującego zdarzenia:

We wsi Pełczynach, należącej do dóbr Piszczowskich, w powiecie Zwiahelskim, łowił chłop ryby w październiku zeszłej jesieni, w małym stawku około grobli na rzeczce Kurczyku. Wyciągając sieć, spostrzegł między złowionemi rybami zaplątane w sieć duże zwierzę, jakiego w życiu jeszcze nie widział; ogłuszył je kijem, zabrał i zamknął do komory. Zebrało się zaraz kilku włościan i jeden z nich orzekł, że to: „każet sia bobr“, którego jak się wyraził: „na pewniaka w aptece w miasteczku kupią i dużo hroszy zapłacą“. Uszczęśliwiony swą zdobyczą chłopek pobiegł do pobliskiego miasteczka Korca i począł się w aptece informować, czyby też bobra nie kupili. Pan aptekarz jednak odrzucił ofertę kupna całego zwierzęcia żywcem i pouczył chłopka, że u bobra jest przy ogonie „taka tłuszcz“, której do lekarstw potrzebują. Poleszuk wrócił do domu i po głębokim namyśle, co tu robić w tak niezwyczajnym wypadku, wpadł na szatański iście koncept: zabił kijem zwierzę, które w komorze tymczasem z ogłuszenia do siebie przyszło i odżyło zupełnie i odciął mu ogon z zadnią częścią ciała, co zaniósłszy do apteki, kilkadziesiąt kopiejek zapłaty otrzymał. Z amputowanej zaś w ten sposób reszty ciała zwierzęcia ściągnął skórkę, mięso wyrzucił i więcej się nie odzywał.

Dopiero w kilka tygodni później, przez żydów, którym chłopek skórkę na sprzedaż ofiarował, doszło do wiadomości mej straży leśnej, że we wsi Pełczynach złowiono i ubito zwierzę, za które, gdyby „Jasny Graf“ był w Piszczowie, z pewnością dużo rubli by zapłacił. Zrobiono natychmiast rewizyę u wystraszonego chłopka, odnaleziono skórkę, wytoczono śledztwo i po niesłychanie długich certacyach chłop opowiedział zdarzenie tak, jak je powyżej opisałem, skórkę zaś do mnie przysłano.

Był to rzeczywiście bóbr *(Castor fiber)* dużych rozmiarów, o prześlicznem ciemno-bronzowem futerku. Niestety, to ostatnie bez ogona mi się dostało.

Najstarsi ludzie w okolicy nie pamiętają, by się w tych stronach Wołynia, nie należących jeszcze do prawdziwego Polesia, bóbr zjawił. Pełczyny położone są o kilka wiorst od miasteczka Korca nad szosą Rówieńsko-Żytomierską, niedaleko od mego domku myśliwskiego „Hulanka“, gdzie zwykle podczas toków głuszców kwateruję. Przez stawek, gdzie bobra złowiono, płynie mała rzeczka Kurczyk, wpadająca opodal na granicy mych lasów z rządowymi, do Słuczy. Słucz jednak łączy się z Horyniem, Horyń z Prypecią — tą zatem drogą wodną mógł jedynie rzadki gość w nasze strony zawitać, tem ciekawszy, że wszędzie, najgłębszego Polesia nawet nie wyjmując, bobry bardzo rzadko i sporadycznie tylko się trafiają.

O tak zwanych osadach czyli koloniach bobrowych w książkach tylko czytałem i sadzę, że one już dziś chyba do tradycyi tylko należą. Na wołyńskiem Polesiu zamieszkują bobry, jak mnie zapewniano, w ogromnych lasach emilczyńskich marszałka Uwarowa, sam właściciel mi jednak opowiadał, że żywcem żadnego nie widział, a tylko ślady ich bytności nad brzegami leśnych rzek odnajdywał. W Ludwipolu, majątku pana Walewskiego, miano ostatniemi laty dwa bobry złowić i zabić.

W ogóle ciekawy ten gryzoń coraz rzadszym się staje; osuszenie błot, gęste kanały, koleje żelazne i co za tem idzie, względna cywilizacya głuchych puszcz poleskich, zredukowały stan bobrów do minimum, a i temu ciemny lud nie daruje i wyniszczy niebawem do reszty to tak mało w Europie znane i ze wszech miar interesujące zwierzę.

Już od kilku lat usilnie się staram i gorąco pragnę posiąść żywy okaz bobra, lub przynajmniej piękną skórkę dla Muzeum hr. Dzieduszyckiego, które o ile mi wiadomo, tylko jeden i to nie ciekawy egzemplarz tego największego z naszych gryzoniów posiada. Niestety, dotąd mi się to nie udało, a w danej chwili niefortunny koncept ograniczonego chłopka, ucinającego bobrowi ogon, pozbawił mnie przyjemności złożenia lwowskiemu muzeum w darze bobra na mej ziemi ubitego. Jakim sposobem ten wędrowiec bobrowego rodu aż do Piszczowa zawitał i co go skłonić mogło do dalekiej wędrówki, może o parę set wiorst od rodzinnego miejsca, co o ile mi się zdaje nie leży w zwyczajach tych gryzoniów, wytłumaczyć nie umiem, a podaję tylko powyżej historyę ostatniego może bobra w tej części Wołynia.

Józef Potocki.

Hadle 15. lutego 1893.

(Królowa kniei).

Do najpiękniejszych kniei Husiatyńskiego powiatu zaliczyć trzeba niezaprzeczenie Miodobory, tak pod względem ilości, jakoteż różnorodności zwierza. To też niezatarte wspomnienie pozostawi w pamięci myśliwego tydzień styczniowy, spędzony w nader miłej kompanii nad brzegami Zbrucza.

W dniach 16. i 17. stycznia polowaliśmy w Jabłonowie, fatalna jednak aura tak się zawzięła na biednych myśliwych, że mimo świetnego stanu zwierzyny, bo około 60ciu widzianych dzików, rudlów sarn z 50-ciu i więcej sztuk złożonych, rezultat, jak na Jabłonów, wypadł nieświetnie. Dwa dni polowania dostarczyły 15 kozłów, 2 dziki, 49 zajęcy i lisa.

Piękniejszym, bo przynajmniej nie wietrznym był dzień 19. stycznia, przeznaczony na polowanie w Derełozach, remizie parusetmorgowej wśród stepu, gdzie się roiło formalnie od zajęcy. W pięć niespełna godzin zabito 78 zajęcy i rogacza.

Nadszedł nareszcie dzień 20. stycznia, w którym miałem zaglądnąć w oczy królowej kniei nadzbruczańskich, tyle mi znanej z opowiadania. Są to lasy Horodnicy, które leżą w samem sercu Miodoborów, a mając najlepsze sąsiedztwa i przy starannej gospodarce łowieckiej, mogą pod względem obfitości zwierza stanąć na wysokim stopniu.

Przyjechawszy rano 20. stycznia do Horodnicy, gdzie nas uprzejmy gospodarz, pan Stanisław Jabłonowski, przyjmował w obszernej leśniczówce, zastaliśmy już Jaremkę, sławnego jak się dowiedziałem tropiciela, z relacyami z kniei, że w pierwszym miocie mamy sześć dzików i dwa wilki. Pełni otuchy wyruszyliśmy do lasu. Pierwszy miot był kilkoletnim zapustem sosnowym, przytykającym z jednej strony do pola, z drugiej do wysokopiennej rzadkiej grabiny, w której też zostaliśmy rozstawieni. Zaledwie odezwała się pogonka, zobaczyłem idącego wolnym truchtem na mego sąsiada z lewej strony ogromnego wilka. Wyniosła postawa jego, potworny łeb i kark gruby kazały się w nim domyślać starego psa. Nie wiem, czy niemile załechtał jego powonienie papieros mego sąsiada, który przed rozpoczęciem gonu dopalić go usiłował, czy podejrzanym wydał mu się różowawy kożuszek następnego myśliwego, dość, że na sto kroków przed linią strzelców gwałtownie rzucił się w tył i w szalonych susach pod trop się wrócił. Posłał wprawdzie za nim kulę expresową pan w różowym kożuszku, ale tyle było grabów w lesie, a wilk tylko jeden, że nic się jej nie dziwię, iż spotkawszy pierwsze drzewo w lesie, na temże utknęła. Po chwili dały się słyszeć dwa strzały na flance do tego samego, jak się pokazało wilka, który wydostawszy się z miotu przez Zbrucz i bez paszportu udał się na rosyjską stronę. Drugi wilk niestrzelany wyniósł się bokiem.

Po skończonym miocie, w którym padło 2 lisy i kilka zajęcy, pytamy się Jaremki, co się stało z dzikami. „Cofnęły się na pogonkę“, była odpowiedź, „ale zostały w miocie“. Bierzemy więc drugi raz ten sam miot, tym razem do pola, rozstawiamy się zaś za polem pod drugą knieją, mając jeszcze przed sobą pas kilkoletniej gęstej sośniny, tak, że wypędzone dziki musiały przejść przez pole, następnie przez sośninkę, ażeby wyjść na linię strzelców. Przyznam się, że niebardzo wierzyłem w powodzenie tego miotu, bo nie przypuszczałem, żeby się dziki dały wypędzić na pole, gdy tymczasem po chwili wyskoczył dzik z miotu, przeszedł polem i zapustem przed nami będącym, ale został chybiony.

Gdy pogonka wyszła z sośniny i zaczęła się posuwać polem, przemieniłem kulę na śrut, sądząc, że reszta dzików znowu się przebiła przez nagonkę, a widząc trzy zające, idące na mnie, składam się do jednego, gdy przyciszony głos mego sąsiada. „Co robisz, dziki idą, a ty strzelasz do zajęcy“ — wprawił mnie w zdumienie. Rzeczywiście po chwili widzę stado srokatych dzików, prujących się gęsiego ku nam głębokim śniegiem, od którego nie wiele różniły się kolorem. Każdy z nas miał pewno skromne życzenie zrobienia przynajmniej dublety, tymczasem dziki weszły w tę małą sośninkę przed nami i tu znalazły swoje ocalenie, bo żadną miarą wypędzić się stamtąd nie dały, mimo, że cała pogonka w zwartym szeregu przeszła dwa razy sośninę; aż widząc jedną stronę, słabiej obstawioną, uderzyły na nią — jeden warchlak padł od kuli leśniczego reszta zaś uszła. Nie zatrzymując się już dłużej przy dzikach, zaczęliśmy brać następne mioty, co przy podwójnej pogonce i doskonałem prowadzeniu szło nadzwyczaj szybko. Zaczęła się kanonada do

zajęcy, a chociaż dnia tego nie miałem spotkania, bo zabiłem dwoma strzałami tylko zająca i rogacza, przyznać muszę, iż stan zwierzyny w Horodnicy jest świetnym. Na rozkładzie wieczór było 2 dziki, 69 zajęcy, 2 lisy i rogacz.

Drugiego dnia nieoceniony Jaremko zdał prawdziwy egzamin, bo dostawszy polecenie otropienia dzików, jakkolwiek nie miał czasu pozamiatać tropów, z iście indyjskim sprytem wziął się do rzeczy i mimo, że tyle razy dziki wracały do sośniny, tyle ludzi i sani przeszło, skonstatował, że pięć sztuk obległo w tym samym co dnia poprzedniego miocie i jeszcze dwie duże sztuki do nich przyszło.

Pierwsze mioty wzięliśmy na ściankach, skąd malowniczy widok roztacza się na okolicę. Nie mieliśmy wszakże czasu podziwiać ślicznych krajobrazów, zajęci mocno szarżującymi na nas zającami, których też 31 położyliśmy. Po południu pojechaliśmy do historycznej sośniny, którą znowu do pola pędzono, tym jednak razem stanęliśmy pod samą knieją. Wkrótce też wyskoczyła z miotu srokata locha, a za nią także 4 warchlaki. Padły pierwsze strzały i zaraz dwie sztuki zostały, później odezwały się salwy do uciekających polem dzików, nie tak więc jak to zwykle bywa, że tylko wybrańcy losu mają spotkanie, ale kto żył to strzelał, stąd też ogólna była radość. Koło pana Jabłonowskiego przeszła osobno duża czarna sztuka, którą z ekspressa przestrzelił na wylot, mimo to przeszła jeszcze do drugiego miotu. Druga sztuka także czarna, widocznie z tych przychodnich, koło mnie sośniną wyszła na flankę, a mocno postrzelona stanęła w głębokim śniegu, tocząc krwawym wzrokiem po zbliżających się do niej leśniczych, którzy nie mając kuli przywołali mnie, abym ją dobił. Pyszny był widok tego potwora leśnego, łapiącego śnieg spienionym pyskiem i przygotowującego ostatki sił, aby się rzucić na mnie. Ponieważ się do mnie ciągle frontem odwracała, musiałem na sztych strzelić, aby jej męki skrócić, poczem zaczęliśmy się zbierać. Cztery dziki leżały zabite, za dwoma posłano pobereżników, którzy je na leśniczówkę późnym wieczorem przywieźli Wstaliśmy od obiadu, aby przy świetle pochodni oglądnąć wspaniałą sztrekę, na której leżało rozciągniętych 6 dzików, 2 kozły i 31 zajęcy.

Drugiego dnia opuszczaliśmy Horodnicę, żegnani serdecznem: „do widzenia za rok“ — przez gospodarza, któremu niech mi będzie wolno w moim i towarzyszy imieniu wyrazić szczere podziękowanie za tę niezwykłą rozrywkę i staropolską gościnność, z jaką nas w tej czarownej przyjmował kniei. *Piotr Łastowiecki.*

Radłów 16. lutego 1893.

(Stosunki myśliwskie)

Dziwna apatia w tej naszej okolicy! Nikt nie czuje w tem przyjemności, a tem mniej obowiązku, podzielenia się z członkami towarzystwa łowieckiego, jak prosperują wierzostany, i jak udają się polowania tej okolicy. Czy to znany powszechnie wstręt do inkuastu, czyli też przeciwnie nie posiada ta okolica członków towarzystwa łowieckiego, niewiem — widzę atoli, że o ile inni członkowie chętnie dzielą się z towarzyszami i szeregowcami Św. Huberta o stanie zwierza jakiejś okolicy, i o wyniku zabiegów i pielęgnowania, wreszcie o rezultatach na odbytych polowaniach — to my w tem ustroniu ubodzy w sprawozdawców.

Porywając się na reportera tej okolicy, choć niepowołany, z góry uprzedzam, że moje wiadomości po większej części opieram na relacyach osób drugich, nie zaś bym był świadkiem polowań odbytych.

Owoż zacznę od rewirów, które wchodzą klinem między lasy dóbr Radłowa, do ks. Marszałka krajowego należących.

Że tu zwierz doznaje najstaranniejszej opieki, nie podlega najmniejszej wątpliwości, a jednak wynik 2-dniowego polowania nie został uwieńczony rezultatem takim, na jaki z góry liczono. Przyczyny należy w tem szukać, że jesienią zając przebywał w polu, gdzie się uporczywie aż do spadnięcia dużych śniegów trzymał.

Sarny przeciwnie, w każdym miocie w większych rudlach będące, uchodziły albo na flanki obsadzone niestrzelającą strażą leśną, lub też na nagonkę.

Wynikiem polowań było 9 rogaczy około 30 zajęcy i 5 lisów.

W Zaborowie, majątku p. Władysława Dąbskiego, rezultat polowań był świetny. W pierwszym dniu, w którym w lasach polowano, padło 8 rogaczy i do 30 zajęcy, w drugim, gdzie wyłącznie brano kociołki, aż zazdrość brała nie należeć do grona uczestników tej zabawy, tak tam było huczno i gwarno. Sam słyszałem, polując w sąsiednim rewirze, jak gęsto salwy padały, to też znalazło się około 60 zajęcy na rozkładzie, a o ile od udział biorących się dowiedziałem, mogło jeszcze i drugie tyle zginąć, lecz był to dzień mroźny i wietrzny i niejednemu z myśliwych wskazujący palec służby odmówił, albo bezwiednie się pospieszył, skutkiem czego, szczęśliwe szaraki zdrowo i cało uchodziły. Ogółem zwierzostan, doznający tam możebnej opieki, jest świetny, mimo, że sąsiedzi, nie myśliwi, pozwalają każdemu polowania, a nawet z wycieczek kłusowniczych korzystają.

W Zdrochcu, u p. Ludwika Miętty, brałem udział w polowaniu na polach. Mioty brano na płot, dzień był bardzo mroźny, a mimo nieświetnego rezultatu, każdy z udział biorących miał zupełną satysfakcyę. Baletników rodu zajęczego jest tam poddostkiem, widziano ich w 6 branych miotach przeszło sto, a rozkładzie jednak znalazło się zaledwie 13. Zapyta niejeden: dlaczegoż tak mało? Oto dlatego, że tam każdy zając to istny geometra, wie gdzie go śrut nie dosięgnie, a że tam gdzieby 15 strzelców wygodnie się pomieściło, było nas razem z gospodarzem tylko siedmiu, niejednokrotnie na 300 kroków od siebie oddalonych, więc szarak uchodził, albo flanką, lub ryzykując oberwania kijem po combrze, przebijał się przez nagonkę, albo wymierzywszy między myśliwych w sam środek, zdrowo pomykał. Strzelano więc dosyć, ale w znacznej części były to... salwy honorowe dla przemyślnych geometrów zajęczego rodu. Rezultat niezawodnie byłby inaczej wypadł, gdyby polowano w kociołkach, ale śnieg co najmniej łokciowy nie zachęcał do tak forsownych marszów dystansowych, chociażby za nagrodę pozłoconego zajączka. Mimo słabego wyniku, każdy udział biorący wywiózł najmilsze wrażenie z domu, staropolską gościnnością nacechowanego. Na tem też miejscu wyjawiam życzenie, sądzę zgodnie z uczestnikami tego polowania: daj Boże na drugi rok, a może lepiej uda się w polu, bo w domu trudno o lepsze.

Bobrowniki majątek świeżo nabyty przez Dr. Stempińskiego, obfitują w drobnego zwierza, który jest strzeżony i ma dobre remizy w łęgach naddunajcowych. Rezultat tego rocznego, w grudniu odbytego polowania, był jednak nieświetny.

Z powyższej już relacyi można się przekonać, że okolica Radłowa jest zasobną w zwierzynę, i dąży do coraz lepszego zwierzostanu, na dowód czego przytoczę wzmiankę o sąsiednim rewirze w Przyborowie, własności p. Łasińskiego. Rewir ten jak i pola tego majątku podobno przepełnione

zwierzem, a właściciel, jakkolwiek znakomity myśliwy, dąży widocznie do rezultatów u nas niebywałych, gdyż od lat paru większych polowań nie urządzał. Obiecuje wprawdzie ogłosić walną bitwę, lecz czy każdy z nas doczeka się tej rozkoszy, niewiadomo.

Niewolno mi pominąć milczeniem jeszcze jednego z weteranów myśliwych tej okolicy, p. G. właściciciela majątku W. Takich już niewielu! Zaproszony na polowanko, czy to słońce czy deszcz, w mrćz, wicher, czy śnieżycę zawsze się stawi, pełen tej swobody i humoru, z dowcipem na ustach, z trafną uwagą w zanadrzu, jakiemi dawni myśliwi się odznaczali, a których z lat mych dziecinnych sobie dobrze przypominam. I on miał zamiar dania sąsiadom polowania, lecz cóż, kiedy ma na swem terytoryum, jak mówi tylko 2-ch odliczonych szaraczków, których zaledwie ustrzedz może, bo okropna ta okolica, pełna kłusowników, których niepodobna ustrzedz, gdyż wybierają na siłki. Możnaby wprawdzie temu trochę zaradzić, strzelając psy kłusownicze, ale jest to rzecz zbyt kosztowna, czego dowodem sam p. G., który w noc ciemną, bezksiężycową, ośmielił się w swoim parku strzelić o 10. w nocy na chybił trafił do psa, goniącego za jednym z wspomnianych dwu zajęcy, i został zato zasądzony na 25 złr. kary i 14-dniowy areszt!...

Dążąc do końca mej relacyi, podaję z samego Radłowa całoroczny wynik polowań.

Od mej ostatniej zeszłorocznej relacyi ubito z zwierząt pożytecznych: 27 rogaczy, 244 zajęcy, 61 kuropatw. 52 kaczek krzyżówek, 13 cyranek, 4 słonki, 77 kszyków, 47 przepiórek, 51 chruścieli; z zwierząt szkodliwych: 14 lisów, 15 psów, 24 kotów, 5 łasic, 1 orła, 26 jastrzębi, 49 wron i srok — razem 710 sztuk.

W ciągu roku zaskarzono 4 kłusowników; 2 zostało już ukaranych. Zabrano 32 drucianych siłek, zastawionych na zające i 2 paście, a w jednej z nich znaleziono polując 26. stycznia 1893. na lisa w łęgach nad Dunajcem, krzyżówkę za nóżkę uchwyconą.

Ciąg wiosenny słonek był lepszy niż jesienny. Kaczek było bardzo wiele, lecz polowanie na nie niekorzystne, bo stawy i jeziorka bez ochrony brzegów, trudne przeto podejście. Ubite sztuki wzięto przeważnie na mokrych łąkach.

Stan sarn świetny, lecz mimo obfitego żywienia koniczyną, znaleziono obecnie kilka sztuk padłych, zdaje się od przemrożenia, bo wszystkie dobrze odżywione i między temi było 2 sztuk młódek. *L. D.*

Radwańce 18. stycznia 1893.

(Z odpowiedzią).

Na pytanie szanownego korespondenta z nad Zbrucza umieszczone w Łowcu Nr. 1., spieszę choć z pobieżną odpowiedzią.

„Jakie objawy w przyrodzie nakazują dzikim kaczkom budować gniazda w miejscach bardziej nad zwierciadłem wody wzniesionych, lub też położonych nieco dalej od wody w latach, w których mają nastąpić powodzie?“ — pyta szanowny korespondent.

Otóż najprzód muszę zauważyć, że dotychczas nie mamy pewnych danych, w jaki sposób gnieżdżą się te same kaczki w latach normalnych lub posusznych, a tem samem nie można twierdzić, aby budowały gniazda na miejscach bardziej nad zwierciadłem wody wzniesionych, lub dalej od wody położonych w latach z powodziami.

Bardzo często w życiu swojem spotykałem gniazda dzikich kaczek, oddalone od wody na kilkadziesiąt i paręset kroków, w lesie, w krzakach lub w zbożu, ale w tymże samym roku spotykałem je także po kępach, na bagnach i łąkach, zalane wodą, z jajami zupełnie zepsutemi, w połowie zasiedziałemi. I z tego nie można było nic a nic wnioskować, czy rok będzie posuszny- czy mokry, bo jedno gniazdo drugiemu kłam zadawało.

Przekonałem się tylko, że krzyżówka woli gnieździć się na wyżynach i dalej od wody, ceranka zaś bliżej wody, po łąkach i kępach w bagnach. Przy koszeniu łąk nadbużańskich lub nad Żołokiją, ileż to gniazd kaczych zepsutych znajdują kosiarze traw, jeżeli z końcem kwietnia lub z początkiem maja rzeki z koryt wystąpią i gniazda pozalewają! Dlaczego więc nie przewidziały kaczki tego wylewu i gnieździły się tak niekorzystnie? Od bardzo dawna już legenda, iż kaczka gnieździ się na mokre lata wyżej, utrzymuje się międy gminem a stąd i u myśliwych, lecz potrzeba tu cofnąć się do tych wieków, w których owa legenda powstała, aby choć częściowo dojść do prawdy.

Pamięcią mogę tylko o 40 lat cofnąć się wstecz, a już i w tym czasie co to za różnica! Cóż dopiero, gdyby tak o sto lat się cofnąć? Lat temu 40 nie były uregulowane rzeki, nie były poobsuszane bagna, mnóstwo jezior i jeziorek znachodziło się w bagnistych lasach, a lasów było o wiele więcej niż dziś. Wówczas i mnóstwo kaczek dzikich gnieździło się u nas, a gdy nadchodziły wielkanocne święta, ludzie ze wsi — jak dziś na grzyby — tak dawniej w niektórych okolicach wybierali się do lasów, krzaków i jezior po jaja dzikich kaczek, aby mieli czem przez święta się raczyé. Wtenczas sprytem swoim w szukaniu jaj przyszli do tego pewnika, że w mokre lata należy szukać jaj po suchych wyższych miejscach, a w suche lata po niższych, bliżej wody. Lecz w tem sami siebie oszukiwali, bo zdawało się im, że z położenia gniazd prorokują co będzie, gdy tymczasem widzieli tylko to, co było.

Bywa często także, że pierwszy lęg jaj wylewy wód zniszczą w maju i kaczki drugi raz się gnieżdżą, naturalnie że wyżej, więc gdy znajdziemy takie gniazdo, to zdaje nam się, że mamy już dowód proroctwa, a to tymczasem najnaturalniejsze następstwo poprzedniego wylewu.

Gdyby kaczki były rzeczywiście obdarzone przewidywaniem lat mokrych lub posusznych, toby tym instynktem były obdarzone wszystkie i nie znachodzilibyśmy gniazd kaczek dzikich wodą zniszczonych, jak to bardzo często spotkać można. Mogą mieć stare kaczki doświadczenie, gdy im woda raz i drugi zaleje gniazdo, i nauczone tem doświadczeniem, gnieżdżą się wyżej, lecz czynią to wówczas tak w suchy, jak i w mokry rok; mogą mieć a nawet i posiadają zwierzęta i ptactwo dzikie bardzo rozwinięte niektóre zmysły, któremi wskutek ciśnienia powietrza na dzień lub dwa przeczują słotę, pogodę lub mrozy, lecz aby mogły one przewidzieć, co ma za miesiąc lub jeszcze później nastąpić, tego im pod żadnym warunkiem przyznać nie mogę, tembardziej, że my ludzie rozumem obdarzeni, dokazać tego nie potrafimy.

Dlaczego kaczki gnieżdżą się często w znacznej odległości od wód? Tu prędzej uwierzyłbym podaniom gminu, że kaczor, odnalazłszy gniazdo kacze wypija jaja lub niszczy. Wiosną, o świcie widziałem nieraz kaczkę gonioną przez kaczora, a usiłującą schować się przed prześladowcą. Zapadała ona to tam, to ówdzie, w zboże, krzaki lub trawę, a gdy kaczor po kilkakrotnem obkrążeniu górą kaczki nie zoczył i odleciał na wodę, to ona z miejsca ukrytego lotem, lub

gdy była niedaleko, pieszo zdążała do gniazda. Zdaje się więc, że kaczce chodziło tu o zachowanie gniazda przed kaczorem, który musi jakieś psoty gniazdu lub kaczce na gnieździe płatać.

Przesądy i wróżby od dzieciństwa zasłyszane, nie tracą dla nas i w wieku dojrzałym swego blasku zupełnie; stąd też wiele się o nich pisze i z przyjemnością czyta, lecz gdy bezstronnie, zimno na fakta te zapatrywać się będziemy, to cudowność ich pryska jak bańka mydlana.

A teraz próbujmy odpowiedzieć na drugie pytanie: „Jakie przyczyny zniewalają ptactwo przelotne do obierania szlaków do odlotu przez takie miejsca, gdzie nigdy, albo też tylko bardzo rzadko się pojawiały.“

Rozumiem, że chodzi tu o ptactwo wodne lub błotne, odpowiedź więc będzie bardzo krótka, że przyczyną tego jest obfitszy żer. Dla tej samej przyczyny także ptactwo błotne i wodne nie w jednej porze i nie w jednej sile przelot swój jesienny i wiosenny podejmuje. Z wiosną tem lepszy będzie ciąg ptactwa błotnego i wodnego, im wcześniejsza i ciepła wiosna pokaże się u nas, poczem dążą na północ, gdy i tam się już spodziewają podostatkiem żeru. Jeżeli wiosna taka wczesna ukaże się i ponad Bałtykiem i ponad morzem Czarnem równocześnie, to przelot przez Galicyę będzie bardzo skromny, gdyż tylko to ptactwo przyciągnie, które u nas pozostaje, dążące zaś z Afryki na północ, przeleci po nad wybrzeżem bałtyckiem, z Azyi zaś wybrzeżami morza Czarnego, mijając nas zupełnie.

Pamiętam jeden tylko ciąg słonek bardzo ładny. Trafił się on w pierwszej połowie marca. Prawda, że słonki ciągnęły podówczas więcej zmrokiem niż zwykle, ale ilość ich była taka, że jednego wieczora (19. marca r. 1869 lub 1870) widziałem co najmniej setkę. Ile razy później był lepszy ciąg, to zawsze jeżeli wiosna była wczesna.

Ciąg jesienny stosuje się u ptactwa błotnego wyłącznie do żeru, to też ciągnie ono rozmaitemi szlakami, ale tylko takiemi, które w żer obfitują Gdy pokolenie młode podrośnie tak, iż może już latać, posuwają się w kierunku odlotu takiemi miejscami, którędy przechodziły deszcze i gdzie też teren z żerem został należycie przygotowany. Z kierunku prostego odlotu mogą bezpiecznie na prawo i lewo zbaczać po kilkadziesiąt mil i nie zrobi im to żadnej różnicy, mają bowiem dość czasu i zatrzymują się tygodniami w miejscach z obfitym żerem, nie kwapiąc się wcale do odlotu.

Rok 1869 był mokrym, rzeka Żołokija i Bug w połowie czerwca wylały ogromnie, zaraz też setki tysięcy kaczek pojawiły się na zalanych obszarach, a gdy z końcem czerwca i początkiem lipca wody poczęły opadać, zjawiły się zaraz stada kulonów, kulików i kszyków, za niemi zaś mnogość dubeltów, w miarę tego, jak teren z żerem dla którego ptactwa był przygotowanym, pomimo, iż nie był to czas przelotu kaczek ani też krzyków i dubeltów. Któż im powiedział, że Żołokija wylała? To także nic dziwnego, jeżeli zauważymy, że dla ptactwa takiego przebycie i stu mil jest igraszką, i że czynnością całego ich życia jest wyszukiwanie żeru, do czego stosownie natura wydoskonaliła ich zmysły.

Treścią odpowiedzi mojej jest zatem: że tylko w legendzie utrzymuje się przekonanie niczem nieuzasadnione o gnieżdżeniu się kaczek inaczej w mokrych a inaczej w suchych latach — na drugie zaś, że ptactwo przelotne ciągnie zawsze za żerem obfitszym. *Józef Obrębski.*

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Lisowicach odbyły się polowania zimowe przy współudziale 14-u myśliwych w dziesięciu dniach, od 16. do włącznie 26. stycznia. Knieja ta znana jest z pięknych spotkań, i choć nie odznacza się liczbą zwierza łownego, celuje wszakże nad inne nadzwyczajną jego rozmaitością. Tegoroczny sezon zimowy odznaczył się mnogością dzików, i stanowczo, jako dzicza knieja, stanęły Lisowice przed wszystkiemi innemi. Wynik dziesięciodniowego polowania, w ciągu którego brano po pięć do sześciu miotów dziennie, a dano 462 strzałów, jest następujący: 2 żbiki, **60 dzików,** 20 lisów, 59 rogaczy, 62 zajęcy, 3 kuny, 1 tchórz, 8 jarząbków, 1 puhacz, 1 sowa, 1 jastrząb - razem 318 sztuk. Co do dzików należy zauważyć, że w kolosalnej liczbie 60-u sztuk było tylko 17 warchlaków, zresztą wycinki, duże samury i kilka bardzo pięknych odyńców.

Ogólny wynik polowań lisowickich w sezonie myśliwskim 1892/93 wykazuje: 2 żbiki, 85 dzików, 59 lisów, 1 wydrę, 4 kuny, 1 tchórza, 67 rogaczy, 92 zajęcy, 2 cietrzewie, 22 jarząbki, 37 słonek, 1 jastrzębia, 1 puhacza, 4 sowy uralskie — razem 378 sztuk, do których dano tylko 866 strzałów. Cóż za dobór myśliwych, gdzie na każde 10 sztuk ubitej zwierzyny zaledwo 23 strzały przypada! *St.*

— W ordynacyi Łańcuckiej ubito na polach w roku 1892, 21 rogaczy, 301 zajęcy, 41 dubeltów, 30 kszyków, 15 bażantów, 128 kuropatw, 339 przepiórek, 5 kaczek cyranek, 3 krzyżówki, 1 słonkę, 382 kotów, 5 kun, 1 wydrę, 8 tchórzy, 83 łasic, 56 jastrzębi gołębiarzy, 153 krogulców, 10 kruków, 750 wron i srok, innego ptactwa drobnego 52 sztuk — razem sztuk 1.666. *Wł. Lewicki,* łowczy.

— W Strychańcu, dobrach pani Sydonii Pieńczykowskiej, na polowaniu w piętnaście strzelb ubito 12 kozłów, 61 zajęcy i 5 lisów.

— W Bieździatce u hr. Stanisława Romera, na polowaniach, odbytych w ciągu całego sezonu myśliwskiego od 15. sierpnia 1892 do lutego r. b., ubito 7 dzików, 3 rogacze, 58 zajęcy i 4 lisy, 148 przepiórek i chruścieli. Kuropatw od kilku lat nie strzela się zupełnie. Jak na naszą ubogą w zwierza łownego okolicę, jest to rezultat bardzo dobry.

Stanisław Mroczkowski.

— W Nuszczu u p. Edwarda Weissmana, na polowaniu, odbytem d. 20go grudnia, ubito w dziesięć strzelb 18 rogaczy, 1 lisa i 19 zajęcy.

— W Starzyskach u p. Edwarda Weissmana, na polowaniu, odbytem 3go i 4go stycznia, ubito w dwanaście strzelb 2 dziki, 18 rogaczy i 37 zajęcy. *A. W.*

— W Ossowcach u hrabiego Aleksandra Potockiego na polowaniu, odbytem w grudniu r. z., padły 4 rogacze, 2 lisy i 76 zajęcy.

— W Kołędzianach u p. Kornela Horodyskiego ubito 5 rogaczy, 120 zajęcy i 2 lisy.

— W Trybuchowcach u pana Horodyskiego padły 2 dziki, 2 rogacze i 40 zajęcy.

— W Uniżu u p. Władysława Przybysławskiego na polowaniu, odbytem w styczniu, padło 5 dzików, 6 rogaczy, 3 lisy i 18 zajęcy.

— W Krukienicach, majątku br. Zyg. Drohojowskiego, odbyło się polowanie dnia 26. stycznia r. b., w 15 strzelb. Ubito 16 rogaczy, 5 lisów i 31 zajęcy — razem 52 sztuk. W ciągu całego sezonu w Krukienicach ubito: 31 jastrzębi, 92 wron, 46 srok, 12 psów samych po lesie polują-

cych, 10 kotów, 12 lisów, 4 wydry, 2 tchórze, 3 kuny, 1 dzika, 32 rogaczy, 71 zajęcy, 22 kaczek, 1 dubelta, 334 kszyków, 200 chruścieli, 120 przepiórek, 15 kulików i kulonów, 30 kuropatw. Ogółem 1038 sztuk zwierzyny szkodliwej i użytecznej. *Jan Ostrzechowski.*

— W Toporowie u hr. Władysława Baworowskiego, polowano w dniach od 15. do 22. stycznia w dziewięć strzelb i ubito 9 dzików, 27 rogaczy, 204 zajęcy i 6 lisów. Strzelano bardzo dobrze i w ogóle tylko do starych rogaczy. Dzików było w tym roku ogółem nie wiele, a w dodatku źle je tro piono, że zaś pierwszy strzał zastrzeżony był do dzika, więc zające i rogacze wymykały się niestrzelane. Stan sarn jest bardzo dobry i stan zajęcy się poprawił. Lisów mało, bo są trute.

— W Zadwórzu u p. H. Bohdana, obyło się polowanie w ośmnaście strzelb d. 23. stycznia. Padły na niem: 2 lisy, 9 rogaczy i 62 zajęcy. Szczególnie jeden miot odznaczył się niezwykłą obfitością zajęcy; dano w nim 63 strzałów i ubito 34 zajęcy, 2 rogacze i jastrzębia gołębiarza.

— W Brodzkiem państwie, na polowaniach obytych pod przewodnictwem Dyrektora Frenkla, położono 14 dzików, 19 lisów, 23 rogaczy i 193 zajęcy.

— W Kutkorzu, na trzydniowem polowaniu w dziesięć strzelb, ubito: 7 lisów, 21 rogaczy i 147 zajęcy.

— W Korsowie u p. B. Horodyńskiego, na dwudniowem polowaniu w dziesięć strzelb, ubito: orła, 4 lisy, 11 rogaczy i 69 zajęcy. Bawiono się wyśmienicie.

— W Firlejówce polowano i bawiono się także doskonale a ubito 2 lisy, kilka rogaczy i kilkadziesiąt zajęcy. Zające siedziały w polu i mało ich było w kniei. *Delegat Tyszkiewicz.*

— W Jaryczowie u p. W. Krzeczunowicza, polowano w czternaście strzelb przez dwa dni i ubito 3 lisy, 16 kozłów i kilkadziesiąt zajęcy. Dzik silnie postrzelony uszedł w sąsiednie lasy.

— W Lubiankach pod Zbarażem odbyło się d. 31. grudnia z. r. polowanie, na którem padło 2 lisy, 4 kozły i 68 zajęcy. Stan zwierzyny wzmógł się w ostatnich czasach.

— W Żukowie, w pow. horodeńskim, własności p. Antoniego Theodorowicza, odbyło się polowanie w dniach 20. i 21. stycznia, na którem w 15 strzelb ubito 1 dzika, 9 kozłów, 5 lisów i 78 zajęcy. *E. P.*

Z Królestwa polskiego.

— W Chrzęstowie u hr. Rodryga Potockiego, na polowaniu odbytem w dniach 28 i 29 grudnia z r. w szesnaście strzelb, ubito 238 zajęcy, 2 rogacze i cietrzewia.

— W Rzędowicach u pp. Helclów na polowaniu, które się w dniach 10 i 11 stycznia wśród mroźnej zadymki w siedmnaście strzelb odbywało, zabito 159 zajęcy, 4 rogacze i 2 lisy. Szczęśliwą dubletę do rogaczy dał na niem hr. T. Łubieński i uznany został królem polowania.

— W Wielgiem u hr. Tadeusza Miączyńskiego, polowano w 13 strzelb przy 17° mrozu i silnym wietrze w d. 9. stycznia. Mimo to wzięto ośm miotów i ubito 249 zajęcy i 1 kuropatwę. Królem polowania był p. W. Wodziński, który położył 31. szaraków.

— W Krzywosądzu, u p. Józefa Modlińskiego, na polowaniu w polach, które d. 31 grudnia z. r., w dziesięć strzelb się odbyło, ubito 60 zajęcy.

— W Cicleśnicy, w gub. Siedleckiej, na polowaniu odbytem d. 24 stycznia w dziesięć strzelb wśród zagajników, zabito 67 zajęcy.

— W Masłowicach, w pow. wieluńskim, u p. Kaźmierza Kręskiego, obbyło się d. 24 grudnia z. r., polowanie w 20 strzelb, częścią w kniei, częścią w kociołkach na polu. Na rozkładzie znalazło się: 2 rogacze, 106 zajęcy, 2 kuropatwy i jastrząb.

— W Mokrzku Szlacheckim polowano w kociołkach d. 31 stycznia w 12 strzelb, i mimo ciągłego deszczu z śniegiem ubito 86 zajęcy.

— W Łaziskach Soleckich, w powiecie iłżeckim, u p. Kaźmierza Boskiego, odbyło się d. 24 stycznia polowanie w dziesięć strzelb, na którem ubito 60 zajęcy.

— W Hołubiu, w pow. hrubieszowskim, u p. Eustachego Swieżawskiego, padło na polowaniu 2 dziki, 2 lisy, 4 kozły i 82 zajęcy.

— W Petrykach, w gub. kaliskiej, u pp. Repphanów polowano w dziesięć strzelb i ubito 4 kozły i 300 zajęcy.

— W Woli Ossowińskiej u p. Aleksandra Makowskiego, na polowaniu w dwanaście strzelb ubito rogacza, 3 lisy i 102 zajęcy.

— W Cieleśnicy u p. Henryka Rosenwertha na polowaniu w 10 strzelb padło 82 zajęcy.

— W Zieleńcicach i Woli Marczeńskiej, w pow. łaskim, u p. K. Sulimierskiego, na polowaniu odbytem d. 22. stycznia w ośmnaście strzelb ubito 90 zajęcy i 2 lisy.

— W Kozłowie pod Sohaczewem, u p. Łucyana Suskiego, na polowaniu, które się odbyło d. 1. lutego w szesnaście strzelb ubito przeszło 100 zajęcy i kilka kuropatw.

— W Podleszanach u hr. Henryka Brezy na polowaniu kniejowem, które się odbyło d. 11. stycznia zabito w pięciu godzinach w 7 strzelb 91 zajęcy, 3 rogacze i 2 lisy.

— W Karowie, dobrach p. Kaźmierza Maramosza, odbyło się w dniach 30. i 31. grudnia r. z. polowanie w siedmnaście strzelb. Wynik polowania był wspaniały, padło 244 zajęcy, 14 rogaczy i 7 lisów. Sam ten wynik świadczy najlepiej o racyonalnem pielęgnowaniu kniei przez gospodarza.

KRONIKA.

Dział łowiecki na powszechnej Wystawie krajowej we Lwowie r. 1894 budzi żywe zajęcie między myśliwymi. Dyrekcya Wystawy rozesłała do kilkudziesięciu wybitniejszych miłośników łowiectwa specyalne programy tego działu z prośbą o poparcie jej usiłowań i zbierania cenniejszych okazów. Ani wątpić, że na ten apel pospieszy cała drużyna łowiecka z tem, co ma najcelniejszego, aby dać wierny i świetny obraz naszego łowiectwa. Istne skarby trofeów i broni mieszczą się po naszych prywatnych zbiorach, chodzi więc o to, ażeby je na jaw wydobyć i swoim a obcym w świetnym komplecie przedstawić. Niech podziwiają nasze knieje, nasz kraj, gdzie każdy niemal ziemianin jest gorącym miłośnikiem łowów. Niechże pojedyncze osoby i towarzystwa nasze myśliwskie połączą swe usiłowania, a stworzą obraz, który przyćmi wszelkie inne łowieckie ekspozycye.

Na niedźwiedzie wybrało się dnia 25. lutego z Warszawy grono myśliwych, udając się do Berezyny w gubernii mińskiej. Sześć niedźwiedzi ma być osaczonych.

Żubr w oborze. Z Wilna piszą do *Wieku*: „Nie czuć u nas, że stoimy na progu wiosny; codzień to zadymka z mrozem, to śnieg sypie, a raz po raz dochodzą wieści o napadach zgłodniałych wilków na podróżnych. W powiecie bielskim głód i pragnienie, spowodowane zamarznięciem wszystkich źródeł, wygnały z puszczy ogromnego żubra, który skierował się wprost do wsi Łosinka i wszedł do ogródka szkółki włościańskiej, szukając wody u źródła przez ogródek płynącego. Udało się włościanom wypędzić zwierzę do głębokiej zaspy, gdzie mu zarzucono pętlę na rogi i przywiązano do płotu. W takiej pozycyi pożerał skwapliwie podane mu siano i jadł śnieg, gdy chciano go jednak zapędzić do chlewu, oparł się; po długiej walce związanego zawieziono na saniach do obory miejscowego księdza, u którego pozostanie w gościnie aż do wiosny.“

Śmierć od dzika. Zarobnik Teodor Morasz w Berlińcach ujrzał 3. lutego na polu żerującego dzika i puścił się za nim w pogoń. Zwierzę nie mogąc umknąć, zwróciło się przeciw ścigającemu, obaliło go na ziemię i zabiło kłami na miejscu.

Dużego kozła z przedziwnie przekształconemi parostkami zabito w lasach bursztyńskich, należących do księcia St. Jabłonowskiego na polowaniu odbytem w d. 24. lutego.

Słoń miniaturowy. Znanemu handlarzowi zwierząt, Hagenbeckowi w Berlinie, nadesłał brat jego z Sumatry rzadki okaz małego słonia, najmniejszego, jakiego dotąd widziano. Najmniejszy ze znanych był 115 centymetrów wysoki i ważył 450 funtów; tymczasem ten ma 90 centymetrów wysokości, a waży zaledwie 78 kilo. Słoń ten przeznaczony jest na wystawę w Chicago, gdzie będzie figurował w zoologicznej arenie Hagenbecka; obecnie będzie pokazywany w berlińskiem Panopticum Castan'a.

Nieprzezorne żądanie. Ridgeway Sanderson, wydawca i redaktor dziennika „American Standart“ w Nebrasce, z usposobienia namiętny myśliwy, ogłosił w swej gazecie, że pragnąłby mieć psa myśliwskiego i byłby wdzięczny prenumeratorowi, któryby mu przysłał szczeniaka dobrej rasy. A ponieważ sam musiał wyjechać na czas krótki, polecił więc swemu lokajowi, negrowi Samowi, przyjąć kilka psów w razie, gdyby kto nadesłał. Na drugi dzień potem ogłoszeniu przyprowadzono psów 10, następnego dnia jeszcze 32, na trzeci dzień przysłano już cały transport, składający się z 67-miu gończych. Gdy Sanderson po tygodniu powrócił do domu, zastał 179 psów ras najrozmaitszych, zaś wierny służący sam przedstawił mu dokumenty następujące: 1) rachunek wynoszący 300 dolarów za karmienie i pomieszczenie podarowanych psów; 2) ośm skarg za naruszenie spokoju podczas nocy; i 3) 114 żądań wynagrodzenia za wyrządzone szkody sąsiadom. Sanderson rozłoszczony rozpuścił wszystkie psy. Mieszkańcy przestraszyli się: psy pokąsały obywateli i gryzły się między sobą. Jakaś staruszka ukąszona w nogę, zmarła z przestrachu. Rozeszła się pogłoska, że jeden z psów Sandersona był wściekły. Na nieszczęśliwego myśliwego wniesiono do sądu 463 skarg, i musiał odpowiadać sądownie „za spowodowanie śmierci przez nieostrożność.“ Tego było już zanadto. Biedny Sanderson włożywszy do kieszeni ostatni numer „American Standart,“ przepędził na cztery wiatry wiernego Sama i jak przestępca, uciekł w nocy do innego stanu.

Redakcya „Łowca“ ma jeszcze mały zapas kompletnych roczników z r. 1892 i sprzedaje rocznik broszurowany za 3 zł, 50 ct. w. a.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Julius Starkel** ulica Kopernika 30.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.